FRANIA PORANEK

JEJ DALSZE LOSY

GABRYELA ZAPOLSKA

FRANIA PORANEK

JEJ DALSZE LOSY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SYNA
LWÓW — WARSZAWA — 1922

83988

Powieść niniejsza, nieskończona, wydana z papierów pośmiertnych autorki, stanowi trzeci tom trylogji: „O czem się nie mówi“ i „O czem się nawet myśleć nie chce“.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

I.

Rozjęczały się poprostu jakieś rozpłakane demony nad miastem. Szarpały duszami ludzkiemi i wstrząsając szybami okien dobierały się do tych najgłębszych smutków, które zdawało się, że już dawno wywiały ludziom z serc i z pamięci.

Krajewski książki nawet po którą wstąpił do księgarni, nie otworzył. Wszedł do pokoju swego, jakby do świeżo wykopanej jamy i miał uczucie, że się poślizgnął i wpadł na samo dno pełne lepkiej, grząskiej gliny. Książkę, cuchnącą jeszcze farbą drukarską i wyziewami jakichś ścisłości filozoficznych rzucił na nieposłane łóżko i sam usiadł w ciemności na krześle koło stołu.

Opuścił głowę na piersi i ręce wsunął w kieszenie palta. Źle napalony piec roztaczał wstrętną woń, sprawiającą zawrót głowy. Krajewski wiedział, iż należy poprostu wstać, pchnąć okno i napuścić świeżego powietrza, aby odetchnąć szerzej i lepiej. Lecz — nie chciał tego uczynić. Teraz — lubił się dręczyć nawet fizycznie. Czasem miał ochotę zanurzyć ostrze paznogci w swe ciało i to tak silnie, aby

ociekły gorącą krwią. I wtedy dobyłby się może z tajni jego nerwów ból, przeogromny Ból szarpiący go na drobne części i zajmujący brutalnie jego uwagę na drgania, kłujące całą jego istotę, jakby tysiącem rozpalonych cienkich noży. Lecz nie miał siły wprowadzić tego zamiaru w czyn. Wogóle nie miał teraz siły do niczego. Postanowienia rozmaite rodziły się w nim i zamierały pierwej, nim dały ze siebie znak życia. Zdawało mu się, że ktoś wydarł z niego szkielet, na którym było poprzednio rozpięte jego ciało i to coś nieuchwytne, co niem rządziło i zmuszało do całej serji postępków, nagle zniszczył.

— Nic! nic! nie mogę nic, nie chcę nic, nie pragnę nic...

W tem jednem słowie skoncentrował się teraz on cały. To — »nic« — to było wyznanie jego wiary, serce, myśl, dusza, kultura, wiedza, chęć, pragnienie.

Nic! wielkie nic.

Beznadziejna pustka, po której hula wicher urągliwy i nikczemnie rozigrany.

Nic!

Chwilami nachodziło na niego jeszcze jakby zbuntowane pragnienie rozgrzebania tego kurhanu, który zaczynał róść dokoła niego z szybkością niezrozumiałą.

— Właściwie — myślał — dlaczegóż to tak? Cóż znów się tak bardzo zmieniło, cóż się przełamało?

Cóż?

Obejrzał się dookoła siebie. Świat ten, z którego powstał i w którym on żył — istniał niezmienny, niestarty, ten sam — wyznający raz powzięte prawa i linje, — głupoty i mądrości — bezskażność i brud, szastający jakąś pstrą płachtą, nazwaną »kulturą« — z poza której widniały nogi o sinych plamach — zgalwanizowanego trupa. Istniało to wszystko, a przecież nie działało już nań ani jednem drgnieniem, pobudzającem go do brania udziału w tak zwanem »życiu«.

Głupie to, marne — nawet... komiczne. Te »wrażenia«, nastroje, — komedje! błazeństwa! Bim—bam! jęczały kościelne dzwony.

Śmieszność. Aktor we fraku na estradzie, wywracający oczami — obok drugie wyfraczone indywiduum, łomocące w fortepian...

Co tu dzwonów! skąd te dzwony...

I tam dalej. A potem dewotki przytłoczone kultem i zbyt ciężką watowaną peleryną i monotonja litanij przez nos śpiewanych.

A poza tem mus, konieczność posiadania jakiejś religji — tak zwanej... Wiary.

Słowem kłębi się to wszystko, splata, brzęczy, huczy, przedziera do mózgu, do duszy. I nagle — takie coś, sekundą przeszyje ten mózg i wszystko się odwraca, zapada w nicość. To co miało nadludzką wartość, co wydźwigało się tragicznemi wysiłki na szczyt jakiejś niedostępnej góry — co miało tworzyć ten punkt świetlany, nieodzowny na godzinę

skonu, oto z niego Nic — wielkie, ociekłe lodem Nic.

I właściwie nie chodzi tu w takiej gorżkiej, piołunnej chwili o wierzenie w coś wielkiego. Tu raczej chodzi o możność udawania przed sobą samym, że się wierzy, a zwłaszcza, że się będzie wierzyło. — Cóż! kiedy przyjdzie taka chwila i już po wszystkiem. Siedzi się, ot tak, ze zwieszoną głową na piersi i żuje się, a raczej przeżuwa własne istnienie, z którego przecież powinno się wydostać choćby trochę cieplika dla podtrzymania zamierającego »ja«...

Zaskrobało coś koło drzwi.

Krajewski nie poruszył się. Wiedział, że to będzie stróżka ze zwykłą komedją troskliwości płaconej.

Rzeczywiście — ona — już weszła. Poczuł woń jej ohydnych, niezniszczalnych łachmanów. Skrzypi mu za plecami głosem, który żre już piwniczna gruźlica całe dziesiątki lat.

— Może w piecu zapalić?...

Czuje, iż trzeba jej odpowiedzieć, ale nic nie mówi.

— Może lampę zaświecić?

Milczenie.

Tylko dzwony jęczą i jęczą ohydnie, jakby gromada piewców nad otwartą mogiłą.

— Co wielmożny pan będzie jadł na kolację?

Musi ją uspokoić, bo poprostu może ją za ten skrzek zadusić.

— Nic... idźcie sobie!

Lecz ona się nie rusza. Wzdycha i wreszcie przeciągle wystękuje.

— Bo wielmożny Pan niepotrzebnie tak się martwi i gnębi. Jak Boga kocham, to tylko plunąć i tyle!...

Porwał się.

— Proszę iść stąd! co to... skąd?

Ona kieruje się ku drzwiom.

— Ja tylko tak. Ot... po kobiecemu.

— No! no!... dobrze!

Wyszła. Słychać, jak schodzi postękując po drabinie schodów w przepaście wilgotnych lochów, gdzie żreć się będzie także tęsknotą za córką, która teraz włóczy się gdzieś po oślizgłych trotuarach za łatwym zarobkiem i szeleści spódnicą, ocierając się, niby wypadkowo, o mężczyzn.

Tylko choć ma trochę powietrza i perspektywę nocy spędzonej nie na barłogu pod ścianą, przeciętą wodociągową rurą, z której zwieszają się zamarzłe sople lodu. Więc może i nie należy się tak bardzo dziwić, że ta młoda — gruźlicza pierś nie miała tej rezygnacji, jaką dyszy ta stara i wywionęła w świat, choćby na trotuarze miała się skończyć linja jej horyzontu. A że tam do świeższego powietrza dorzucono i zażądano nawzajem trochę pieszczoty i rzucono na odchodnem trochę monety... więc może nie należy się tak bardzo dziwić!

Krajewski stoi na środku pokoju i nagle doznaje złudzenia słuchowego, dziwnego, tak subtel-

nego, że zdaje mu się, iż zapada sam w niezmierzoną dal. Za ciężkiem stąpaniem rozklapanego obuwia stróżki, jakby lekko stukają czyjeś obcasiki tanecznym rytmem. Znany mu ten rytm, trochę rozpustny — trochę rozbawiony. Coś z tanga, coś z przytupywania oberkowego. — Nieraz zasypiał przy niem. Było mu to kołysanką jakąś. Zamykał oczy i zwolna ciepło posłania ogarniało go. A czyjeś szparkie nogi wciąż wybijały takt po podłodze. I zerwały się od primusa, na którym grzało się trochę wody, to znów ślizgały się ku kwiatom, umieszczonym na grzędzie okna. A czasem zatrzymywały się koło posłania, koło niego.

I »śpisz Tatuńciu« — ciche, delikatne, ostrożne...

Ogarniają go te drobiazgi cacane, wydobyte z głębi prostego, miłego serca. W jednej chwili rozumie, co było czarem głównym tej, która zniknęła. Ta niepojęta zdolność nadawania rzeczom zupełnie powszednim i codziennym, czasem szpetnym — prostackim, wdzięku i krasy dziwnej, a tak nieprzebranej w bogactwo, iż nigdy nie brakło jej, i nigdy nie było znać wyczerpania ni ubytku. Szła do niego zawsze z rękami pełnemi tego mistycznego kwiecia, które zdawała się zbierać w ogrodzie własnej duszy, witającej każde zdarzenie, a nawet i przeciwieństwo z uśmiechem swobodnej, uprzejmej radości.

Tem owiewała jego całego i gdy pytała go naprzykład o to, »co będą jedli na kolację« — w tem

przechyleniu kociem główki, w geście rąk wytwornym prawie, pomimo, iż sięgały już po kraciaty fartuszek, przerzucony przez parawanik, w niecierpliwych hołubcach, jakie wycinały obute w aksamitne pantofelki nóżki — a zwłaszcza w czarującej intonacji głosu — był ten cały mały światek kobiecego uroku, poddańczego i zwycięskiego. Służebność jej ofiarowana w ten sposób miała dar prawie królewski i ta »kolacja« — rosła do potęgi sutej, podanej na srebrze, i strojnej w przepychy kwiecia. I były tam rzeczywiście delikatne brzęki srebrne gdy siedli do skromnej zastawy, bo dźwięczały czyste, srebrne dźwięki jej młodego głosu. I były tam róże świeże i wonne, które padały gierlandami na stół biesiadny — róże jej uśmiechu, które on chwytał wlot i poił się niemi i upajał, jak winem przedoskonałem i słodkiem.

Jakże mu po tem wszystkiem, po tych ucztach kochanych i rozmarzonych — zasiąść samemu do stolika poto, aby poić się trucizną wspomnienia i ubóstwem rzeczywistości. Zrozumiał to właśnie w tej chwili najlepiej, gdy tak stał w tym ciemnym, wystygłym pokoju, nie rozdziany z palta, pełen takiej goryczy — takiego wyziębnięcia w sobie, iż nie umiał nawet to zebrać i określić duchowo. Tylko to jedno czuł, iż jest sam i że *nie potrafi już teraz być sam.*

— »Byłem sam dawniej. Teraz jednak, tyle się zmieniło!« — myślał i wzrok jego w tej prawie

ciemni wyczuł to, co jest z martwych przedmiotów dokoła niego.

Przedewszystkiem ta ciemna, głupia masa kufra, tego kufra, mieszczącego w sobie tragedję młodego, zeszarpanego na strzępy istnienia.

— Przejrzę go! zobaczę co w nim jest.

I zaraz chciał usprawiedliwić tę chęć przed samym sobą.

— Muszę wiedzieć, co pozostawiła, zamknę, zapieczętuję — przecież to jej własność!...

Klucze wisiały przy zamkach. Zapalniczką od papierosów zapalił ogarek świecy, o którym wiedział, iż wala się pomiędzy gratami — zbliżył się do kufra i podniósł wieko.

— — — — — — — — — — — —

Zbladł dziwnie i zacisnął usta. Miał wrażenie, iż podniósł wieko od trumny. Ta słodka woń zmieszanych perfum była dlań tem samem, czem byłby smród gnijącego trupa. Oddychał ciężko i czuł, iż mu serce drga nierówno w piersi. Nie przypuszczał, iż zaczyna się w nim robota tęsknoty na wielką skalę z całą mordującą powoli drobiazgowością moralną i fizyczną. Zaczynał w nim wstawać i budzić się właściwy ból, a ta jakaś cisza, przemieniająca go w manekina, w którą popadł — jakby rozszemrywała się groźna właśnie tem, że prawie nieznajoma a konieczna i istniejąca.

Pchnął rękę w masę porozrzucanych szmat, zalegających wnętrze kufra. Były to szmaty przeważnie letnie, troszkę futra, szeleszczących taft, ob-

leśnego aksamitu. Potem, jakieś pudełeczka, bombonierki, fotografje w obrzydliwych ramkach. Ręka jego wędrowała wśród tego wszystkiego, macając, mnąc co napotkała. Jakby woń ciała Frani poruszona skradała się powoli ku jego nozdrzom i to mu zaczynało być i męką i jakąś niewyznaną rozkoszą.

Przymknął oczy, aby nic nie dostrzec, a tylko żył cały w dotknięciu tych miękkich szatek. Nie przeklinał, nie pragnął, nie reasumował nic. Tylko drżał i chłonął w siebie gamę tajnych pędów. Minęło kilka minut a może kilka kwadransów. Nie wiedział ile, lecz czuł, że może tak klęczeć przed skrajem tego kufra długo bardzo i nie nasyci się i dłużyć mu się nie będzie. A jeszcze, co więcej. Nabierał przeświadczenia, *że Frania żyje*, że to co pisała w liście, iż się »straci« było czcze i nieziszczalne, że ta czerń, w którą wyskoczyła nie była przepaścią grobową, że...

I nagle drgnął cały. Ręka jego wśród szmat jedwabiu i koronek wyczuła jakiś kanciasty, uparty, płaski przedmiot. Nie widząc, odgadł, że to jest owa tragiczna *książeczka*, którą mu Frania wraz z ostatnim listem przesłała. Wyczuł ją po dreszczu, jaki spłynął mu po najtajniejszej skrytce duszy. Równocześnie mignęła mu przez myśl możność dowiedzenia się, czy Frania istnieje właśnie zapomocą tej *książeczki*. Lecz przeląkł się swej myśli. Jeżeli Frani policja jeszcze nie złapała, naprowadziłby tę sforę na jej ślady. Zawirowało dokoła niego nieznanym, a raczej znanym powierzchownie światem.

Wyciągnął z trudem rękę, jakby z lepkiego błota. Przypomniał sobie, że to on wrzucił tę książeczkę do kufra tej samej nocy, gdy Frania uciekła.

— Niech tu zgnije! — pomyślał — i wtedy i teraz znowu!

Gdy podniósł się z klęczek, odetchnął ciężko. Zdawało mu się przez chwilę, że wydostał się na powierzchnię z czarnej, przepastnej topieli, w której już tonął, a tonąc, napotkał ciało gnijącego trupa. Wyprostował się i otrząsnął jakby resztki czających się po zakamarkach jego nerwów, dreszczów przesiąkłych śmiertelnym potem. I równocześnie powstała w nim myśl, ta główna, która była jakby nierozłączną towarzyszką jego życia.

— Nie mogę istnieć bez kobiety choćby powierzchownie!

I zaraz dodał sobie z jakąś prawie chłopięcą fantazją:

— Przecież są inne!

Jak stał—w palcie, po którem włóczyły się ślady zakurzonej podłogi, porwał ze stołu porzucony kapelusz, wcisnął go na głowę i ku drzwiom się skierował.

II.

Lecz na ulicę wyszedłszy, w wilgoć lepką i wstrętną, w ciemnię ponurą i natrętną, zaczął borykać się z pytaniem.

— Gdzież one są — te inne — nie piętnowane, nie znaczone czarnym stygmatem, nie podane usłużną ręką policji.

Zatracił bowiem o nich już wieści w sobie samym, zaryty cały w swem poprzedniem pożyciu z Franią.

— Lecz są! — powtarzał z uporem.

Przyszła mu nagle na myśl Gwozdecka, ta kobieta jakby zamarła w budzeniu żądz a doskonała jako towarzysz i ostoja w chwili rozpaczy lub życiowej rozterki.

— Ją odnajdę, pomoże mi przebyć tę ciężką chwilę przez jaką los mnie wlecze.

Poszedł w stronę jej mieszkania. Szedł wolno, nie spiesząc się, pewny, że ona jest w swoich dobrych przytulnych ścianach i z uśmiechem łagodnym a rozumiejącym wszystko, czeka na niego. I ta myśl, że w tym uśmiechu nie czai się żadna ko-

cia przewrotność kobieca, pragnąca wciągnąć jego, mężczyznę, w fałszywą igraszkę namiętności, pozorną przychylnością wyzyskującą chwilową niemoc duchową — właśnie czyniła mu bezpiecznem to spotkanie z Gwozdecką i dawała mu pewność jakiegoś pewnego schronienia.

A przytem, było jeszcze w nim coś więcej — prawie naiwnego — romantycznie komicznego.

Chęć zatrzymania się wiernym dawnym wspomnieniom z jakąś jakby nadzieją możności powrotu do ubiegłych rozkoszy, które już nie byłyby tak pełne i piękne gdyby prześlizgnął się po nich choćby cień świeżych wrażeń i rozgarnął je brutalną ręką rzeczywistości.

— Przy Gwozdeckiej nie będę narażony na to — myślał.

Gdy stanął pod drzwiami tej kobiety doznał już uczucia ulgi.

— Dobrze, że tu przyszedłem! — powinszował sobie.

Zadzwonił.

Natychmiast rozległy się poza drzwiami miękkie, śliczne kroki. Tak jakby tam ktoś czekał był, na to dzwonienie przygotowany.

I otwarły się drzwi bez szelestu.

— Proszę, wejdź pan!

Gwozdecka stała przed nim smukła, oświetlona elektryczną lampą, płonącą w sieni.

Gdy wszedł do przedpokoju zdawało mu się,

że był tu przed godziną, tak wszystko było mu znane, tak wszystko było mu bliskie.

A przedewszystkiem pani tego domu, od której rozpylała się wśród tych ścian wytworna jakaś, spokojna, beznamiętna dobroć kobieca — prawdziwa ostoja na poszarpane burzą życiową nerwy.

— Wejdź pan!

Wskazywała mu wąską, białą ręką drzwi saloniku. Były uchylone i widać było przez nie zielonawą smugę światła. Poznawał w tem ulubioną barwę, w której Gwozdecka przebywać lubiła.

Szła przed nim i zatonęła w tym blasku łagodnym i kojącym jak cała jej istota.

Postępując za nią, dotknął się wiszącego na ścianie jakiegoś okrycia. Był to żakiecik pluszowy, czarny, wonny i jakby ciepły jeszcze od ciała kobiecego.

Woń od niego szła — trochę sztuczna i bardzo a bardzo subtelna.

— Pani ma gości? — zapytał prawie niechętnie.

Odwróciła się ku niemu.

— To nikt, to tylko *ona*.

I znów dodała:

— Wejdź pan!

— — — — — — — — — — — —

I w ramach drzwi, jakby w ramach obrazu, ujrzał Krajewski postać młodej dziewczyny, którą odrazu ocenił (mgnieniem oka), jako doskonałą piękność. Siedziała przy stole pochylona nad jakąś pracą, cała wchłonięta tak w swoje zajęcie, iż nie

zwracała najmniejszej uwagi na to wejście mężczyzny.

I tem właśnie odrazu podbiła go i zniewoliła ku sobie. Było bowiem coś imponującego i rzadkiego w tym spokoju z jakim odniosła się — ona — kobieta — do pojawienia się Jego — mężczyzny. Nie było w tem ani cienia tego niepokoju żali tam niema jakiegoś braku w kokieterji stroju, tego charakterystycznego biegnięcia ręki ku włosom, oblizywania ust, aby wydały się świeżością i krasą. Spokojnie kończyła swą pracę, którą był jakiś piórkowy, mozolny rysunek. Pochyliła głowę całą oblaną potokiem zielonawego, łagodnego blasku, płynącego jak strumień górskiej odżywczej wody wśród zieleni wilgotnego mchu i bluszczów. Trudno było o piękniejszą formę głowy i doskonalszą linję karku, którą hojnie odsłaniały wysoko podczesane w górę lśniące ciemne włosy i nisko wycięty czarny kołnierz bluzki. Profil twarzy miał rysy o wielkiej, przeczystej szlachetności. To, co dostrzec było można z łuków brwi, osadzenia i ocienienia oczów, zwiastowało jakąś rasowość, graniczącą z doskonałością wielkiej, nieskażonej Urody. — Usta drobne, trochę rozchylone, opuszczone w kącikach, jakby ciągłą troską były, w rysunku swoim jakby wschodnie, z tym przepysznym wyrazem pogardy — z jaką kobieta z pod namiotów przyjmowała swą niewolniczość i poddaństwo.

Tyle na razie dostrzegł Krajewski w tej »onej« — tak nazwanej przez Gwozdecką i która

dla niej mogła być »nikim« — ale dla niego odrazu przedstawiła wszystko — to jest całą królewskość kobiecą.

Nie słysząc co mówi Gwozdecka, przeszedł śmieszną ceremonję przedstawienia. Wiedział, że się wymawia w tej chwili jego nazwisko przed tą przepyszną nieznajomą i że on musi skłonić się pokornie i poddańczo napozór, tak jak zwykle kłoni się mężczyzna, a patrzy z pod oka spojrzeniem wysłanem na zwiady, nurtującem już głąb i istotę rzeczy. Chętnie zajął miejsce przy stole, cokolwiek cofnąwszy krzesło i umieściwszy się tak, aby z poza kryształowego wazonu, w którym drżała więdnąca trochę gałąź białego bzu, obserwować świeżo poznaną. Nie porzuciła swego zajęcia, oczy jej szafirowe, niewielkie, lecz pięknie podłużne, na chwilę obiegły postać Krajewskiego i obojętnie ześlizgiwały się spojrzeniem ku dawnemu zajęciu.

Gwozdecka zajęła swe zwykłe miejsce w rogu biedermajerowskiej kanapy, pokrytej ciemno-czerwonym aksamitem. Biała i wiotka, wydała się Krajewskiemu bardziej zmęczoną i schorowaną jak była poprzednio. Może być, iż obecność tej drugiej, wspaniale rozwiniętej i dyszącej zdrowiem, przygniatała ją i usuwała w cień. Zachowała jednak mimo to cały swój wdzięk, trochę smutny i spłowiały. Zaczęła rozmowę umiejętnie i miło. Nie pytała Krajewskiego dlaczego nie widziała go tak dawno u siebie. Przeciwnie — nadała natychmiast ton taki — jakby

go spodziewano się codziennie. Wszystko tu bez słów jakby mówiło:

— Czekano na Ciebie!

Odczuł to i było mu dobrze, miło i swojsko. Tajała w nim lodowa powłoka, która mocą woli narosła na ranie jego serca. Zaczynał rozumieć, że może jeszcze wziąść udział w życiu, w którem rosną i rozwijają się kwiaty miłych wrażeń. I choćby uwiędły powoli, jak ta gałąź bzu, to nic, wykwitną znów nowe — może piękniejsze, może budzące zda się zamierające już siły Woli i mdlejącą chęć istnienia.

Panna zajęta swą pracą rysunkową milczała ciągle, pochylona i uważająca na ruchy swej prawej ręki, kreślącej subtelne punkty i linijki po papierze. Czasem podnosiła cienkie powieki i spoglądała przed siebie. Krajewski dostrzegł, iż rysowała właśnie więdnącą gałąź bzu, dzielącą ich oboje delikatną przegrodą. Gdy patrzyła na kwiaty i jego twarz muskało jej spojrzenie. Było mu tak, jakby dotykała go lekko i pieszczotliwie. Śliczne to było i nad wyraz sympatyczne. Pragnął, aby przedłużało się w nieskończoność. Odpowiadał Gwozdeckiej machinalnie, nie starając się wyzyskać możności ujawnienia swego *beau parleur'stwa*. Na razie nie chciał nic dać ze siebie. Pragnął tylko brać, chłonąć — zakładać opatrunek na jątrzącą się ranę.

O to mu szło, o nic więcej.

I gdy Gwozdecka, jakby wyczerpana tem ciągłem prowadzeniem wstępnej rozmowy umilkła — był jej za to wdzięczny i nie podejmował szermierki

słów wcale. Może i ona uczyniła to wiedziona instynktem i odczuwająca, że należy się temu człowiekowi, który przyniósł ze sobą na twarzy brózdy, które żłobi tylko jakaś głęboka, żrąca boleść — wiele pobłażliwego i dobrego milczenia.

Więc powoli, stopniowo wywołała to milczenie i utrwaliła je.

Z rozkoszą prawdziwą pogrążył się w nie Krajewski. Lękał się przez chwilę, aby piękna, obca mu jeszcze dziewczyna nie przerwała tego milczenia jakiemkolwiek odezwaniem się. Nie wiedział bowiem, czy należy ona do tych ludzi, którzy umieją milczeć. Co do Gwozdeckiej był już o tem przekonany. Ale ta druga była mu z tej najsympatyczniejszej może strony w kobiecie jeszcze nieznaną. Prędko jednak uspokoił się. Dziewczyna milczała pięknie i wytwornie. Za to patrzyła częściej na kwiat i jakby na niego, nie mieszając go i nie wyzywając tem spojrzeniem. Był jej za to wdzięczny, bo czuł, że w tym stanie w jakim był, nie mógłby znieść ostrza kokieterji kobiecej.

Musiałby odejść, a pragnął zostać. Jak długo tak milczeli, nie wiedział sam.

To jedno tylko uczuł, iż uspokajał się stopniowo i to nie sztucznie i pozornie, ale prawdziwie i głęboko. Rana jego serca jakby zasklepiała się przed błotnistym wichrem, który bił weń nieubłaganem, okrutnem skrzydłem. Rozumiał, iż są *inne* kobiety, odnalazł je i ucztował teraz z niemi, chro-

niąc się w ich samarytańską piękność z pokorą i poddaniem.

Jakże był im wdzięczny, i jakże w tej chwili duchowo klęczał u ich stóp, które nawykły były tylko do prostych ścieżek i nie znały nawet istnienia błotnych i cuchnących dróg życiowych.

— — — — — — — — — — —

Jakiś cień służebny — cichy i cudownie wytresowany wniósł błyszczące przybory do herbaty i ustawił je w cieniu na gierydonie.

Gwozdecka podniosła głowę.

— Proszę Cię Francesco! — wyrzekła sennie, zajmij się herbatą!

Lecz tamta odmówiła z wdzięcznym uśmiechem.

— Nie... — odparła niskim, altowym głosem— ty wiesz, że ja tego nie lubię.

Gwozdecka jednak nalegała dalej.

— Proszę cię!... ty tak umiesz to zrobić doskonale.

— Wreszcie, skoro taka twoja wola!

Powstała i poszła powoli w stronę gierydonu.

Krajewski doznał dziwnych, skomplikowanych wrażeń.

Przedewszystkiem dowiedział się, jakie ma imię to wspaniałe stworzenie.

Francesca!

A więc poprostu — Frania.

I załopotało mu serce na tę myśl, na to wspomnienie.

Lecz rzeczywiście. Frania byłoby tu niewłaściwe. Za piękna była, za rasowa, za pyszna na to krótkie, przedmiejskie imię. Francesca wiała cała wonią jakiegoś obrazu, zrodzonego na południu, jakiegoś sonetu, wydzwonionego harmonijną pieśnią pod urokiem lagunowej nocy.

To było udoskonalenie »Frani« — choćby nawet tamta była... Porankiem.

Potem, uderzyło weń *timbre*, (dźwięk) jej głosu. Jakby akord oddalonych harf eolskich, po których powiał wicher konającej jesieni.

— Cudowny głos! — pomyślał wzruszony — nie przerywa milczenia, dopełnia je!

Z wzrastającym zachwytem śledził ruchy Franceski. Bez pozy układała się jednak jak pozujący wybornie materjał. Ubrana zupełnie czarno, rysowała się w swych miękkich szatkach bardzo Tycjanowska, a tylko biała maska jej twarzy i śnieżne płatki jej rąk dawały jej pozór lilji, kłoniącej się tu i tam wśród wichrów księżycowej nocy. Wbrew trochę śmiesznej modzie, która kazała kobietom odsłaniać nogi bez względu na to, czy ma pięknością linij i stóp do tego prawo, suknia jej dość długa opadała aż do kostek w czarne, wdzięczne fałdy. I tylko w poruszeniach wolnych i jakby niechętnych ujawniały się jej szlachetne i mądre nogi, wysokie na podbiciu, otulone w cienki jedwab czarnych pończoch, przez które przeświecał złotawo-biały koloryt ciała — i czarny aksamit głęboko wyciętych pantofli.

Dawno już Krajewski nie był tak bliski cichej i dyskretnej piękności kobiecej. Co główne, opromieniał to wszystko jakiś blask idący z wewnątrz, coś czego określić nie sposób, a co niosą ze sobą dziewice, spokojnie wyczekujące u bram świątyni życia, aż spełni się ich Przeznaczenie.

— Byłażby to Virgo intacta? — pomyślał prawie zdumiony i jakby onieśmielony wobec możności odczucia senzacyj niebywałych i dlań niezrozumiałych.

Zbliżała się do niego powoli, niosąc ostrożnie filiżankę pełną złotego, wonnego płynu. Miała powieki spuszczone i zlekka widne były tylko przez jedwab rzęs, szafiry bezcenne jej ócz.

Czuł, iż popełnia niewłaściwość, że powinien był iść naprzeciw niej, skrócić jej drogę i odebrać od niej podawany mu napój. Lecz tu egoizm przeważył. Była tak piękna w tem powolnem zbliżaniu się, iż pragnął, aby to trwało jak najdłużej. Wreszcie — stanęła przed nim.

— Proszę — wyrzekła — wyciągając rękę.

Wziął od niej podawaną mu delikatną cienką filiżankę z chińskiej porcelany i cofnął się na dawne swe miejsce.

— Dziękuję pani! — wyrzekł prawie zmieszany.

Skłoniła się lekko i odeszła znów w cień, z którego powróciła ze srebrną, dawnej dziwacznej formy cukierniczką i koszyczkiem keksów, złocących się wabnie i pociągająco.

Ustawiła to przed nim, położyła mikroskopijną serwetkę i teraz spojrzała *mu* prosto w twarz.

— Proszę! — powtórzyła, znów podkreślając uprzejmość swoją wytwornym gestem.

Ani na chwilę nie straciła bowiem królewskości swojej w zajęciu tem drobiazgowem i codziennem.

Służąc, potrafiła imponować i czyniła łaskę — a łaska ta nadawała cenę wysoką każdemu jej krokowi i gestom napozór poddańczym.

Spojrzenie to, w jakiem oboje utonęli, przerwał nagle cichy i jakby dziecięcy głos Gwozdeckiej.

— A ja? czy nie dostanę herbaty?

Franceska odwróciła się ku zapomnianej i pominiętej.

— Przepraszam cię! — tłumaczyła się z zakłopotaniem — przepraszam. Natychmiast naprawię moje zapomnienie.

Lecz tamta uspakajała ją, śmiejąc się wesoło.

— Ależ to nic! drobnostka! cieszę się nawet z tego.

Patrzyła na nich dwoje przychylnie i jakby jakieś niewyznane myśli nurtować zaczęły jej bezcelowe i smętne istnienie. Za chwilę Franceska podała jej herbatę i usiadła przy niej na brzegu kanapy.

— Uważaj! gorąca! — upominała, jakby z wielką siostrzaną troskliwością.

Krajewski zapominał o sobie, tak piękny obraz przedstawiały mu te dwie kobiety o niby odmiennych typach piękności, a właściwie jednakie w za-

sadniczej, podstawowej formie swej urody. Był to whistlerowski typ — rasa kobiet wysokich, smukłych, o długich szyjach, małych kształtnych głowach i bujnych włosach. Barwa ich szat odcinała się doskonale w czarno-białej harmonji. Uśmiechały się do siebie przyjaźnie i z wielką ufnością.

Były piękne, wytworne, dobre — czuły to i nie zazdrościły sobie, bo w równej mierze doskonałością, na jaką kobiecość zdobyć się może — obdarzone były. Gwozdecka miękkim, delikatnym ruchem gładziła Franceskę po lśniących włosach, macierzyńsko i wyrazem twarzy przypominała teraz wzrok Madonny ze słynnych zaślubin Świętej Katarzyny Tycjana.

— Gdzie dziś twój ojciec, Francesko? — zapytała wreszcie.

— W kościele! — odpowiedziała tamta. — Spowiada się. Ja idę jutro.

— Rocznica?

— Tak!

Zamieniły tych kilka słów prawie szeptem i urwały na tem osobistą rozmowę. Dosłyszał ją jednak Krajewski i uderzyło go to, że Gwozdecka zimno a nawet opornie zachowująca się wobec kultu, tym razem zupełnie spokojnie przyjmowała zawiadomienia Franceski.

Wstał i podszedł ku nim, pragnąc przyjąć jakiś bliższy udział w tym przyjaznym kręgu, który zaczynał się dokoła nich wytwarzać.

— Pozwolicie mi zbliżyć się do siebie? — zapytał z uśmiechem.

— Jeśli nam podasz cukier, ciastka, najchętniej! — odparła, żartując prawie wesoło Gwozdecka.

Szybko ujął żądane przybory i wtedy to wzrok jego padł na rysownicę, na której rozpięty leżał rysunek gałęzi bzu, wykonany przez Franceskę. Zachwyciła go prostota i doskonała technika wykonania, lecz równocześnie doznał dziwnego wrażenia. Ujrzał bowiem, tam w głębi poza więdnącemi kwiatami swe oczy i nadzwyczaj delikatnie, jakby eterem podane zarysy górnej części swej twarzy. Występowało to z jakichś głębin, zjawą-majakiem, duchem, lecz było, istniało, patrzyło rozumnie, a przedewszystkiem smutno bezbrzeżnie i prawie rozpaczliwie. Równocześnie uczuł, że Franceska patrzy na niego i czuje, że odkrył tajemnicę jej pracy.

Powstała bowiem i zbliżyła się do stołu. Szybko zaczęła odpinać sztyfciki i zdejmować papier z rysownicy.

— Skończyłaś? — zapytała ją Gwozdecka.

— Tak!

— Pokaż.

Ale on patrzył na nią błagalnie. Pragnął, aby ta rzecz, zrodzona z pierwszych chwil ich poznania stała się wyłączną *ich* własnością.

Zrozumiała go.

— Nie udało mi się! — wyrzekła — jutro przyniosę inny bez. Zacznę na nowo.

Zwinęła papier w rulon i odłożyła ten rulon na bok.

— A teraz iść muszę! — dodała — już późno! ojciec chciał, ażebym po niego wstąpiła.

— Idź!

Rozstały się — lecz już coś pomiędzy niemi zarysowało się i rozpoczęło kruszyć ich szczerość. Pojawił się mężczyzna i to wystarczyło. Franceska idąc, zabierała ze sobą swój rysunek.

Gwozdecka zwróciła się do Krajewskiego.

— Odprowadź ją pan! — wyrzekła z łagodnym a tajemnym jakimś uśmiechem.

Ucieszył się myślą wyjścia na ulicę nie samotnie. Przeczuwał bowiem, że wpadnie znów w ciemnię, zimno, i ogarnie go znów jego rozterka duchowa.

— Pozwoli pani sobie towarzyszyć? — zapytał Franceski — a w głosie jego brzmiało nie zapytanie, ale prośba błagalna i nie znosząca odmowy.

— Chętnie! — odparła uprzejmie już na progu przedpokoju, i nagle ręką rzuciła lekki, ledwo zarysowany pocałunek w stronę Gwozdeckiej.

Było w tem jakby podziękowanie nawpół zmieszane z pożegnaniem.

Krajewski, ściskający w tej chwili rękę Gwozdeckiej, uśmiechał się rozradowany.

— Przyjdę tu znów! — powiedział ciepło i także z wdzięcznością.

Gwozdecka skinęła głową.

— I dobrze zrobisz! — odparła przyjaźnie — to jedno cię uratuje.

— A?

— Widzę bowiem, że przeżywasz więcej niż ciężkie chwile. A chcesz wiedzieć coś więcej?

Zniżyła głos tak, że prawie już mówiła szeptem.

— Ratunek jest przed tobą podwójny — rozpusta albo wielka Miłość. Na rozpustę cię już nie stać, pozostaje przed tobą to drugie...

— Skąd pani wie? — zapytał z niepokojem.

— Dość spojrzeć na twoją twarz, na wyraz twych oczów. Przeszedłeś Kalwarję. Teraz masz przed sobą ścieżkę odrodzenia.

I powolnym, spokojnym gestem wskazała mu uchylone drzwi, przez które widać było ubierającą się Franceskę.

— Idź za nią!

Skłonił się w milczeniu i wszedł do przedpokoju.

III.

Wszedł w chwili, gdy Franceska, ubrana już w swój pluszowy czarny żakiet, sięgała po kapelusz.

Półzmrok panował w przedpokoju. Jedynie tylko majaczyła na podłodze smuga zielonawego światła, pochodząca z salonu. Krajewski pełen był słów wymówionych przed chwilą przez Gwozdecką.

— Rozpusta albo wielka Miłość.

Przypomniało mu się arcydzieło z pałacu Borghese w Rzymie, owa *Sacred and profane love*.

— Tak! — pomyślał — ale do czego tu właściwie teren przygotowany?

Zbliżył się do Franceski i podał jej czarny, żałobny kapelusz, po który sięgała.

— Proszę pani! — wyrzekł i równocześnie ze skonstatowaniem, iż Franceska jest w żałobie, ogarnął go zachwyt nad liljową białością jej długiej, wyniosłej szyi, wysuwającej się z intensywnej czerni pluszu.

Nałogowo, prawie bezwiednie podniósł rękę.

— Pani pozwoli? — zapytał, pozorując to zbliżenie się do atłasowej bieli jej ciała, jakby troską o otulenie jej szyi odwiniętym kołnierzem.

Lecz ona odsunęła się dumnie i tyle było wyniosłości w tym geście, iż cofnął się zmieszany i upokorzony.

Lecz równocześnie ogarnął go zachwyt i jakby radość.

Był więc przed prawdziwą, istotną, szczerą dziewiczością kobiecą.

— *Virgo intacta!*

I zadrgało w nim radośnie, jakoby rzeczywiście poczuł się zbawionym.

— Virgo!...

Cały świat nieznanych mu wrażeń, cały świat wzruszeń i pragnień, cały świat modlitwy przed nieskalaną, czystością dziewiczą roztaczał się nagle przed jego olśnionemi oczami. Nawet w tym świecie, do którego czasem zaglądał, świecie klasy wyższej — dziewice nie miały w sobie cienia tej płochliwości wyniosłej i szczerej. Była w nich raczej pruderja przymusowa i narzucona, szukająca dróg wykrętnych, aby zadowolnić swe budzące się namiętnostki przygodnym dreszczykiem, pochodzącym z przelotnego wrażenia.

Tutaj jednak zrozumiał, iż Franceska jest jedną z tych rzadkich, cudownych istot, wyrosłych w jakimś zakątku, do którego dostępu bronią skrzydła matki i wrodzone, czarujące poczucie skromności. Z podziwem zrozumiał, iż jest w niej to niespotykane już dzisiaj pragnienie pozostania rzeczywiście doskonale czystą i nieskalaną dla tego, który przyjdzie, dla oblubieńca, którego się każda z dziew-

czął spodziewa, aby mu się oddać na śmierć i życie całe.

Szedł za nią po prostej ulicy, jak za ciemnym jakimś duchem, śledząc rozwianie jej krep żałobnych, odziewających ją mistycznie i tajemniczo.

Przez chwilę pragnął tak iść jej śladem, robiąc sobie złudzenie, iż ona go zaprowadzi w jakąś krainę ciszy i ciepła, w której wolno mu będzie pozostać ciągle już, aż do śmierci.

Lecz należało się zbliżyć i zrównać z idącą.

Uczynił to wraz z pytaniem.

— W którym kościele jest ojciec pani?

— W katedrze! — odparła, zwalniając kroku.

— Lubi pani ten kościół?

— Bardzo. Odpowiada mi w zupełności.

Nie zdziwił go wybór tej właśnie świątyni. Była bardzo stylowa, strzeliście bijąca ku niebu rozmodlonem łukami wnętrza, wolna od pstrych świecideł, natomiast zakwitła pięknością tęczowych witraży.

Zwłaszcza była tam kaplica Matki Bożej, jeden klejnot połączonych kamiennych koronek i blasków tęczowych świateł, okien, przez które płynęły drgające blaski purpury i szafirów.

— Tak — wyrzekł, jakby sam do siebie — jest to piękne i dobre schronienie. Szczęśliwi są ci, którzy tam się schronić mogą.

— Kościół jest otwarty dla wszystkich — odparła łagodnie.

— Zapewne. Nawet i dla tych, którzy drzemią

po ławkach, bo im zimno w domu i przychodzą się zagrzać! — ironizował mimowoli.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

— Dlaczego pan *tak* mówi?

— Widocznie inaczej nie mogę.

— Szkoda.

— Tak! Wielka to i nienaprawiona już szkoda. Mówmy lepiej o czem innem. Kto panią nazwał Franceską?

— Moja nieboszczka mama.

Głos jej ścichł i powiał, jak wicher płynący wśród mogił.

— Matka pani nie żyje?

— Jutro rok jak umarła.

Te kilka słów zbliżyło ich więcej i prędzej, niż dziesięćkroć dłuższe badanie się wzajemne. Czuł w niej rozpacz i ból, na jaki tylko zdolne jest serce pozostawionej nagle bez matki dziewczyny, stojącej u progu życia w swej żałobie, bez ochrony i oparcia, z widmem katafalku, na którym drętwieje ukochana, dobra, przytulna pierś matki, mająca być właśnie ostoją i portem przed burzą życiową.

I poczciwie, serdecznie jakoś podał swe ramię bez cienia fałszywej myśli tym razem.

Chciał bowiem dla niej coś uczynić, otoczyć ją jakąś opieką, chociażby tylko chwilową.

— Przyjmij pani moje ramię! — prosił zniżonym tonem.

Ona, jakby wyczuła czystość jego intencji, na-

dała swej odpowiedzi formę i ton cokolwiek przystępniejszy.

— Dziękuję panu! — wyrzekła uprzejmie i z jakąś lekką sympatją w głosie — przywykłam jednak chodzić sama!

— Tu ciemno, bruk nierówny... — nalegał mimo tej odpowiedzi.

— To nic. Widzę doskonale i w ciemności. Wala mówi, że mam rysi wzrok.

W tej odmowie wyczuł nie poprzednią skromność dziewiczą, każącą cofać się przed wyciągającą się ku niej zaborczą ręką mężczyzny.

Było to raczej rzeczywiście przyzwyczajenie wystarczania sobie samej, chodzenia wśród niebezpieczeństw z wysoko podniesioną głową i z wytężonym wzrokiem, przenikającym ciemności.

Stąpała pewnie i śmiało, gotowa w każdej chwili do obrony.

Zapewne, była to sierota — ale ujęła swe sieroctwo w pewne i śmiałe ręce. Czarna krepa jej welonów nie służyła do otarcia łez, raczej był to sztandar silnie przytwierdzony do jej głowy i umiejący stawiać odporność przeciw wichrom życiowym. Coraz więcej zachwytu wzrastało w nim, przy zbliżeniu się do tej kobiety, która umiała być samą i nie potrzebowała podpory i przewodnika na ścieżce życiowej.

Z tej strony nie znał kobiet. Były mu one raczej bluszczami, padającemi mu w ramiona.

Pomyślał, że przecież rozkosznie byłoby mieć obok siebie taką istotę pełną hartu i mocy.

— Możnaby odpocząć życiowo!...

Szli tak obok siebie, oboje wysocy, smukli, wybornie wzrostem dobrani. I to go zachwycało także. Rozmawiając teraz o formach rysunku piórkiem, stwierdzał tę doskonałość fizyczną, jaka ich nawet pozornie łączyła. Zapytał Franceskę kto ją uczył rysować. Wymieniła nazwisko jednego z błyszczących malarzy.

Zadziwił się.

Znał bowiem tego artystę, jako mistrza właśnie w brutalnej, silnej, pełnej forsy twórczości. Nie podejrzywał go ze strony drobiazgowej, subtelnej, cichej.

— Właśnie on mi wykazał cały walor drobiazgowości! — mówiła Franceska.

— Nie znałem go z tej strony.

— Tak! — odparła — nie znał go z tej strony nikt prawie. Kryje się z tem, nazywając tę stronę swej twórczości — wypoczynkiem i własną tajemnicą. Mówi, że jest to jego kapliczka wśród ugorów, w którą się chroni, gdy jest bardzo zmęczony. Nikt nie ma do niej dostępu.

Poczuł, jakby cień zazdrości.

— Pani jednak miała tam dostęp! — wyrzekł nawpół z goryczą, nawpół ze smutkiem.

— Tak! — odparła z prostotą — przyszłam bowiem w szczęśliwą chwilę. Było to w wielkiej ci-

szy i wśród czarującej piękności Karpat. Spotkaliśmy się w sanatorjum. Było to dwa lata temu.

Umilkła, jakby pogrążyła się w jakieś odległe, miłe wspomnienie. Wydostali się teraz na bardziej ludne ulice i zmierzali ku katedrze, która ciemną, strzelistą masą dźwigała się w oddali.

Szedł obok niej nagle zdystansowany, obcy — poza nawiasem.

Czuł, że ta dziewczyna ma cały świat swoich upodobań, pragnień, miłości, przyjaźni, z któremi on, obcy nie ma nic wspólnego.

I tak, jak ona, zdołała wejść do tej kaplicy mistrza, któren otworzył przed nią zazdrośnie zamknięte wrota — tak on znów zkolei zapragnął przyjść »w dobrą chwilę« i dostać się do owego kręgu, w którym żyła i poruszała się ta doskonała istota.

Chciał wytworzyć jakiś węzeł, łączący ich nie przelotną, łatwą do zerwania znajomością.

Wzrok jego padł na rulon rysunku, którego brzeg bielił się w otworze mufki Franceski.

I nagle powstała w nim zuchwała myśl.

— Daruj mi pani ten rysunek! — wyrzekł szybko, jakby lękając się, że namysł może mu odebrać odwagę, konieczną do sformułowania tej prośby.

Milczała chwilkę. Wreszcie spytała:

— Zależy panu na tem?

— Bardzo! — odparł prawie gorąco.

Powoli, z wielką prostotą wysunęła rulon z mufki i podała mu.

— Proszę! — wyrzekła z królewskim uśmiechem.

Był prawie wzruszony, przyjmując ten dar z jej dłoni.

Nie wiedział co począć i jak dziękować. Wszystkie używane słowa wydawały mu się banalne.

— Należy mu się honorowa oprawa — zaczął — proszę, doradź mi pani. Nie jestem sam zdolny wybrać odpowiednie ramy.

Pomyślała chwilę.

— Wolałabym! — wyrzekła — aby ram nie było.

— ?

— Tak! niechby ten rysunek krył się w jakiejś tece. Skoro jednak ma tak być, to daj mu pan *passe-partout* koloru ciemno *bordeaux* z maleńką linijką białą. Ram żadnych. Poprostu szkło objęte wąziuchną listewką czarnego papieru. Widziałam tak oprawnego Odillon Rodana. To było bardzo odpowiednie.

Wydawała te rozporządzenia śmiało i z pewnością siebie.

Stała już w cieniu murów katedry, na które padały rzadkie smugi światła, tlejących zdaleka latarni. Mgła zapadała brudna i ziejąca miejską, zimną zgnilizną. Od niej jednak, od tej dziewicy nawodzącej lepsze, piękniejsze światy czystej, niesprzedażnej sztuki wiał jakby blask osobisty, jakby światło nie-

zgaszone niczem i oporne przeciw wszystkim mgłom i ciemnościom.

— Postąpię według rady pani! — wyrzekł, chcąc jeszcze za wszelką cenę przedłużyć chwilę pożegnania.

Ale ona zawołała, jakby z wielką troską w głosie.

— Spóźniłam się... oto mój ojciec, który nie mogąc się mnie doczekać, wyszedł już z kościoła.

Wskazywała mufką na wyniosłą, trochę zgarbioną postać męską, idącą ukośnie placem w stronę splątanego węzła ulic.

— Dogonię go! — rzuciła prawie wesoło.

I nie podając Krajewskiemu ręki, skłoniła się wyniośle i z wielkim wdziękiem.

— Żegnam pana! — rzuciła odchodząc.

On odparł, nagle zdezorjentowany w tej całej sytuacji:

— Do widzenia!

To ją zatrzymało na mgnienie oka. Jakby badała się, czy może przyrzec to »do widzenia«, czy jest ono właściwie potrzebne w jej życiu.

Wreszcie wyrzekła.

— Do widzenia!

I pobiegła za ojcem.

IV.

Gdy Krajewski pozostał tak sam wśród mgły i przykrych, ścieśnionych mas kamienia, ogarnął go smutek bezdenny i pędem wybiegający z wnętrza jego duszy po to, aby pochwycić go w swe szpony. Czuł, iż nie zniesie tego i wzrokiem rozpacznie wbił się w dal, w którą odeszła Franceska. Widział, jak dogoniła ojca i złączyła się z nim. Stało się to w smudze światła jednej z latarń. Dojrzał, iż wzięła rękę ojca i pocałowała ją. Był to śliczny ruch istoty nie podległej konwenansom i przesądom ulicznym.

— Cudna istota! — myślał — w każdym calu — doskonała!

I bezwiednie począł iść śladem tych dwojga, którzy powoli, miarowo zanurzali się w labirynt ulic, po których snuły się sylwetki przechodniów.

— Dowiem się, gdzie mieszka! — tłumaczył się przed sobą samym.

Szedł bardzo ostrożnie, kryjąc się w cieniu kamienic, starając się, aby odgłosem kroków nie zwrócić jej uwagi.

Nie chciał bowiem, aby go dostrzegła. Czyn

ten nadałby mu pewną cechę banalności, a czuł, iżby to zaszkodziło mu w jej oczach.

Idąc tak — obserwował ich zdaleka.

Byli oboje wysocy. Ojciec naturalnie przewyższał córkę, lecz pochyleniem głowy, ułożeniem ramion, chodem byli tak do siebie podobni, że aż ogarnęło Krajewskiego zdumienie. I teraz dojrzał rzecz, która go zdziwiła.

Oto Franceska i jej ojciec szli, trzymając się pod ramię, przywarci do siebie w ścisłym zespole. Przypomniał sobie, iż odmawiając przed chwilą przyjęcia jego ramienia, wyrzekła:

— Przywykłam chodzić sama!

Ogarnął go lęk.

Tak bardzo pragnął, aby od niej dalekie było wszelkie kłamstwo, choćby w takich drobiazgach.

Lecz wpatrując się ściślej i lepiej, zrozumiał tę różnicę.

To nie ojciec ją prowadził, to ona prowadziła ojca i była dlań podporą i opieką w tej wilgotnej ciemni, w którą się zanurzyli.

To on raczej z ufnością i spokojem wspierał się na jej ramieniu, które było dlań pewną i bezpieczną podporą i ochroną. Ona zaś właściwie szła sama, wybierając bezpieczną i właściwą ścieżkę dla siebie samej i dla tego drugiego człowieka, który ma wszelkie pozory złamanej życiem i wyczerpanej istoty.

— Och! — pomyślał — mieć tak kogoś w chwili zwątpienia i wyczerpania, mieć takie ra-

mię, któreby było sobie oddane na wyłączną własność...

Uśmiechał się do tej myśli, rozradowany prawie. Zdawało mu się, iż zaczyna przed nim majaczyć, jakby jakaś możność wydostania się z rozpaczliwego kręgu, który się dokoła niego roztaczał.

Jak długo tak szedł za nimi, nie miał pojęcia. Weszli teraz na tak zwane ciche ulice, na których nie huczały tramwaje, ani nie przewalała się fala bezmyślnych przechodniów. Czuć było, iż ci, którzy tu mieszkają chronią się rzeczywiście w spokój i ciszę. Pragną mieć schronienie, w którem odpocząć może ich skołatane walką ciało i dusza lub gotować się do walki nabraniem sił i pojmowaniem siebie samych. Kamienice, stojące spokojnym, równym rzędem były starej konstrukcji, bezpretensjonalne w linjach, jakby zagasłe i martwe. Poza szybami okien majaczyły koronki firanek albo liście kwiatów. Wszystko cechowało ciepło przytulne, doskonale zaopatrzonych *home*, w których ludzie i rośliny oddychają ciszą i własnym, wystarczającym sobie światem.

Krajewski nie był nigdy w tej stronie miasta i nie znał jej. Lecz teraz zbolały i zdręczony wyczuł, iż w tych cichych i pracowicie zlepionych gniazdach musi być rzeczywisty spokój i ciepło życiowe.

— Tu ona mieszka, tu, nigdzie indziej.

I rzeczywiście, gdy Franceska razem z ojcem weszła do jednej z tych szarych, przytulnych kamienic, wydało mu się to rzeczą naturalną.

— Tu musiało upłynąć jej dzieciństwo! — myślał — tu rozwijała się, jak kwiat rzadki i cenny, aż wreszcie stała się tą doskonałością, jaką jest obecnie. Tu przebywa głównie i bezpodzielnie.

I rad ze siebie, dodał w myśli.

— Dobrze się stało, że poszedłem za nimi. Wiem teraz, gdzie jej szukać myślą.

Wzrokiem błądził po oknach, szczelnie zamkniętych i ciemnych. Jakieś światełka dyskretne majaczyły na drugiem piętrze. Czuł, iż dłużej stać na ulicy nie może bez zwrócenia uwagi.

Odszedł więc z żalem, jakby w ten sposób rozstawał się definitywnie z Franceską.

— Może tu powrócę kiedy! — pocieszał się, idąc niechętnie w stronę swego mieszkania.

— — — — — — — — — — — —

Gdy wszedł do swego pokoju stało się to, co przewidywał, tylko ze zwiększoną siłą. Ogarnęła go rozpaczliwa rzeczywistość, która ziała do niego ze ścian nienawiścią i zgnębieniem najwyższem.

Zapalił świecę i rozglądnął się dokoła.

Nigdy może to jego »wnętrze« nie było tak smutne i tak puste jak w tej chwili.

Tylko po kątach czaił się jakiś potworny nietoperz świeżych bolesnych wspomnień i szeleścił skrzydłami gotowemi do lotu. Szybko Krajewski zgasił świecę — znękany głównie i zrażony widokiem tego, co do tej chwili było dlań jakby pamiątką, pozostałą po kimś zmarłym i drogim.

— Niech tego nie widzę! — pomyślał — choć dziś właśnie.

I w półświetle latarni, płonącej mglisto na ulicy, rozbierać się począł.

Prędko wsunął się do lodowato chłodnej pościeli.

Lecz — doznał uczucia ulgi.

Po raz pierwszy od chwili ucieczki Frani nie doznał tego rozpaczliwego, wyjącego smutku i tęsknoty za tem nieobecnem a tak nieodzownem ciałem, garnącem się do niego z bezbrzeżnem oddaniem.

Oddychał jakoś lżej i swobodniej. Coś zbliżało się doń. Jakiś wyniosły cień kobiecy, otulony w długie, fałdziste, żałobne welony.

Jakieś białe, spokojne ręce majaczyły w oddali.

Jakiś głos niski, altowy o harmonji przedziwnej, nawodzącej spokojne, proste, uznane przez świat cały melodje.

— Jakby Stabat Mater Rossiniego!... — myślał półsennie.

I tak, powoli — poddając się tym spokojnym wrażeniom — zasnął dobrym, łagodnym snem.

V.

Ranek, który nastał po tym dniu chmurnym i spłakanym, dziwny był i nieoczekiwany.

Słoneczny bowiem, prawie brylantowy, niemal wiosną dyszący.

Krajewski obudził się z uśmiechem na ustach przywartym.

Był to jakiś cud ten uśmiech, który jakby już wykwitł podczas nocy i tak powitał słońce.

Lecz prędko zagasł on i skonał pod wpływem rzeczywistości. Brudno tu było dziwnie, szary pył warstwami kładł się dokoła.

— Wyprowadzę się stąd! — postanowił, ubierając się szybko.

Odwracał się szczególnie od kufra Frani, którego widok dzisiaj raził go w straszny sposób.

— Trzeba się jakoś pozbyć tego szkaradzieństwa — pomyślał — i wynieść się stąd, wynieść za każdą cenę.

Za oknem z piekielną jakąś furją hurkotały jadące z pobliskiego lasu fury, wiozące piasek do miasta. Nigdy go to nie raziło tak, jak dnia tego.

Spał nawet w tym łoskocie. Dziś szarpał mu nerwy i stawał się nieznośnym.

— Poszukam sobie mieszkania na jakiejś cichej, bocznej ulicy.

I myślą już biegł w dzielnicę, w którą dnia poprzedniego zawiodła go Franceska. Powstawać w nim zaczęła chęć porwania wszystkich nici, wiążących go z tem jego dawnem gniazdem.

— Jak najdalej stąd! jak najdalej! — łopotało mu w mózgu, w sercu, w duszy.

Nie chciał wzywać Romanowej, aby mu napaliła w piecu i nastawiła śniadanie. Lękał się ujrzeć tę postać owiniętą w łachmany, z rybiemi, wygasłemi oczami i obleśno tragicznym wyrazem twarzy.

— Powiernica!... — nagle zaironizował — powiernica pięknych chwil! godna tego co się tu działo w tych ścianach.

Potoczył wzrokiem dookoła — stał już przy drzwiach, ubrany w palcie i kapeluszu.

— Jaskinia! jaskinia błotna i cuchnąca — wyrzekł prawie półgłosem.

I wychodząc już, zdjęty jakąś pogardą i wstrętem, zademonstrował ją w brutalny sposób.

Plunął i trzasnął drzwiami tak jakby zatrzaskiwał drzwi grobowca.

— Stanowczo się wyprowadzę! — postanawiał, spiesząc w stronę cukierenki, w której dawniej często pijał czekoladę z Franią.

— Zjem tu śniadanie! — pomyślał.

Lecz gdy już był w cukierni, żałował swego

postanowienia. Przywitał go bowiem z grzecznym uśmiechem właściciel, spłowiały staruszek, układający pracowicie odświeżone wczorajsze ciastka na czyściuchno pomytych kloszykach.

— Dawno nie widziałem pana radcy dobrodzieja! — zaczął, kłaniając się. — Może pani radczyni była cierpiąca?

Brał ich bowiem naiwnie za parę małżonków i admirował Franię za jej szeleszczące suknie i nadzwyczajny apetyt, pozwalający chłonąć po pięć, sześć — a czasem i więcej ciastek przy owej tradycjonalnej »czekoladzie«.

Krajewski odparł prawie niegrzecznie.

— Nie! wyjeżdżałem. Proszę dać mi herbaty!

— Ze śmietaneczką, czy z cytrynką?

— Z czem pan chce.

Staruszek podreptał w stronę kuchni. Krajewski zajął miejsce przy marmurowym stoliku, wybierając umyślnie kąt, w którym nigdy z Franią nie siadywał. Umieścił się plecami do wnętrza cukierni, tak, aby nie widzieć nic, coby mu przypominało ubiegłe chwile. Sięgnął po gazetę cuchnącą już świeżą farbą drukarską na stole i pogrążył się w niej, jakkolwiek dawno już nie interesował się niczem.

— Nie przyjdę tu nigdy! — pomyślał rozgoryczony.

I gdy pił wreszcie herbatę przyniesioną przez grzecznego staruszka — aż biły mu pod czaszką kłębiące się myśli.

— Skandal! skandal!... radczyni! on ją ma za moją żonę! Tę... ścierkę! Za moją żonę!

Nigdy może to miano nie wydało mu się tak święte, tak niedościgłe, tak piękne, jak w tej chwili.

Szybko załatwił się z herbatą, zapłacił tańcującemu przed swemi ciastkami staruszkowi i wyszedł z cukierni.

— Całuję rączki! — poleciało w ślad za nim. — Moje uszanowanie pani radczyni dobrodziejce!

Krajewski aż zgrzytnął zębami.

— Tego zanadto! — pomyślał.

Wstąpił do ramiarza, gdyż wziął ze sobą rysunek Franceski. Odetchnął i uspokoił się, gdy rozwinął rulon. Lękał się czy w świetle dziennem rzecz ta nie straci na piękności. Lecz uspokoił się. Rysunek był tak samo pełen wdzięku i wartości, a może nawet jeszcze piękniejszy przy świetle uwydatniającem doskonałość jego wykonania.

Najściślej powtórzył informacje Franceski, znajdując w tem wielki urok i ulgę. Zdawało mu się, że w ten sposób zacieśnia się węzeł, łączący go z tą kobietą.

— I proszę wykonać to jak najprędzej — nalegał gorąco — muszę to mieć koniecznie jak najspieszniej u siebie.

Z biurem załatwił się dnia tego ironicznie i pobłażliwie.

Spędził czas głównie na paleniu papierosów i patrzeniu w okno. Gdy »koledzy« zebrali się znów koło sakramentalnego pieca, w którym cuchnęły

węgle, pomimo słońca dyszącego blaskiem i prawie wiosennem ciepłem — ogarnął ich pogardliwem spojrzeniem.

— Śliczne okazy! — pomyślał.

Rozmawiali znów o »kobietkach«, załatwiwszy się przedtem z biadaniem nad świeżem postanowieniem dyrekcji, obwieszczającej dwurazową służbę, zamiast jak dotychczas jednorazowej rannej.

Szczególniej rozżalonym był Konitz. Kiedyż bowiem miał naznaczać swoje *randki* i uprawiać swoje podboje na Corso!

— Szkandał! — mówił — szkandał... nawet człowiekowi odetchnąć nie dadzą!

I dodał z dwuznacznym uśmiechem:

— Hm! najwięcej ucierpią na tem nasze dziewczynki.

— Tak... — odparł jeden z grupy — bo jak się ma stosunek z mężatką, to już doprawdy będzie ciężko. Przecież wieczorami ani rusz jej się wyrwać z domu. Pozostawały poobiedzia. Niby to szła do krawcowej czy coś... A teraz co?

Inni kiwali poważnie głowami zafrasowani serjo.

Konitz jednak odzyskał szybko fantazję.

— Eh! — zawołał — jakoś tam będzie. Poszuka się coś w innej sferze. I tak te mężatki to nudne i nadto wymagające. Przytem ciągle skarżą się na mężów. Czasem to już nie do zniesienia. Cóż u djabła! Mało to wolnych, swobodnych dziewcząt... Tylko wyciągnąć rękę.

Krajewski zmarszczył brwi i starał się nie słuchać tego terkotania. Ale mimowoli zaczęły go ogarniać straszne, gryzące myśli. Patrzył na grupę mężczyzn, stojących koło pieca.

Jakże mizerni, nędzni wydali mu się oni w tem wiosennem, brylantowem świetle płynącem przez okna.

— Klijentela przyszła panny Frani, moi następcy... A może któreńś z nich wczoraj właśnie trzymał ją w swych objęciach!

Nigdy nie sformułował jeszcze tak jasno całej ohydy tego położenia, jak w tej chwili.

— Cóż?... Poranek! rzeczywiście Poranek! jutrzenka różanopalca! — ironizował dalej w duchu, szarpiąc się do krwi, a przecież nie czując jeszcze siły tego bolu.

Jakby przywołany jego myślami podszedł ku niemu Konitz.

— Pan wie? — zaczął, kołysząc się przed nim w obrzydliwy sposób — mnie się zdaje, że ja wczoraj, na Corso widziałem pańską dziewczynę.

Krajewski aż zagryzł usta z gniewu.

— O kim pan mówi? — zapytał.

— No... o tej Frani. Pan był przecież na serjo wzięty.

Krajewski przerwał szybko.

— Pan się myli. Nie byłem wcale »wzięty«. Najlepszy dowód, że nie mam pojęcia co się z nią dzieje.

— A! rozeszliście się? — zainteresował się Ko-

nitz. — To bardzo dobrze. Takie *collage* to nic nie warte. To jak sługa, co jest zbyt długo na jednem miejscu. Zaraz sobie pomyślałem, że już ona nie musi być z panem, skoro się szlaje po Corso. Pokazał mi ją jeden znajomy. Tak — z opisu pańskiego sądząc — to była ona. Miała białe skrzydła na kapeluszu... Tylko on powiedział jakieś inne imię.

Zaczął sobie przypominać.

— Irena... tak, tak! Irena! — wyrzucił wreszcie.

Krajewski doznał uczucia jakby go kto w piersi uderzył. Miał teraz pewność, że rzeczywiście — tam na Corso »szlajała się«, jak mówił Konitz, Frania.

— Proszę! — wyrzekł zdławionym głosem — proszę, nie mówmy w tej kwestji...

Lecz Konitz nie ustępował tak łatwo.

— Dlaczego? — podjął jakby obrażonym tonem — teraz, to już pana przecież nic obchodzić nie powinno. Ja sam skoro będę miał na nią apetyt — to może po pierwszym zafunduję ją sobie.

I widząc, że Krajewski na serjo zmienił się i zbladł na twarzy, — dodał, odchodząc w stronę swego biurka.

— No! proszę pana — to jest rzecz naturalna. Przecież takie kobiety, to już własność publiczna!...

Krajewski wielkim wysiłkiem woli pozostał na miejscu. To właśnie ostatnie słowo Konitza podziałało na niego jakby otrzeźwiająco.

— Własność publiczna!... — powtórzył w duchu. Ta pokraka ma rację. O co właściwie mi chodzi? To jakbym szalał z wściekłości, że inni depczą

bruk uliczny, tolerowany przez zarząd miejski, chroniony od zarazków pieczołowitością policji i oddany do użytku publicznego.

— Nie trzeba popadać w śmieszność! — tłumaczył sobie, jakby uspokojony.

— — — — — — — — — — — —

Siedząc tak w dalszym ciągu tego dnia w biurze, wśród tej nienawistnej atmosfery z duszą potarganą na strzępy słowami Konitza, a walczącą z jakiemiś świeżemi pierwiastkami spokoju — starał się Krajewski przedewszystkiem wydobyć ze siebie to, co mu było dawniej ostoją, a główną cechą jego charakteru.

Oto — zbierał z zakątków jakoby wystygłą, potężną siłę panowania nad sobą samym, która mu była wierną towarzyszką do niedawna jeszcze. Gdy tak siedział przy biurku nieruchomy, napozór pogrążony w pliki papierów — z brózdą głęboką, wiążącą brwi w chmurną linję, z ustami zaciętemi i błyskającemi tylko białą plameczką jednego kła wbitego w wargę — miał wszelkie cechy człowieka, którego nic już nie zdoła wyrwać z równowagi duchowej i tej dumy moralnej, będącej najpiękniejszą stroną ludzkiej doskonałej istoty.

Przybrawszy tę maskę całą siłą woli, postanowił teraz pracować dalej nad odbudowaniem swej wewnętrznej strony w tym właśnie kierunku.

I z całą rozpaczną siłą zwrócił się myślą ku Francesce, która była tym wzorem równowagi i zdobytego już umiaru w kroczeniu przez życie.

— Ona jedna! — myślał — ona, nikt inny.

Gdy skończyła się wreszcie męka biurowa, wyszedł, unikając towarzystwa Konitza, do którego ten pokraczny Don Juan miał ochotę.

— Chodź pan! — skrzeczał mu pod łokciem — pójdziemy na Corso.

Dla niego bowiem główny cel egzystencji koncentrował się na włóczeniu się po tej śmiesznej karykaturze spacerów wielkomiejskich, wśród band komicznie wystrojonych kobiet, oblizujących znacząco wargi i bezczynnych błaznów, strzelających czerwonemi od kawiarnianego dymu ślipkami z gorliwością godną lepszej sprawy.

— Nie — odparł Krajewski — nie pójdę. Idę na obiad.

— Gdzie?

— Do Europejskiego hotelu.

Konitz wydął wargi.

— Phi! — zaczął — to ja już tam z panem nie pójdę. Tam ponuro i cicho, jak w jakim klasztorze. Tam siedzą same stare pierniki. Przygniatająca atmosfera!

Krajewski rzucił się niecierpliwie.

— Dla mnie miła i odpowiednia.

Konitz aż przystanął ze zdziwienia.

— A panu co się stało? — zawołał.

Nagle przypomniał sobie Franię i zaczął kiwać głową z politowaniem.

— No, tak! tak! rozumiem! — wyrzekł wresz-

cie — tak! to w pierwszych chwilach boli. Ale później można się z tem oswoić.

Z uśmiechem filuternym dodał:

— Zwłaszcza, gdy się znajdzie coś nowego...

A widząc, że Krajewski zasępia się coraz więcej, dodał:

— Chodź pan ze mną! ja panu coś wynajdę, i to prima sorta.

Nagle Krajewskiemu wydało się, że zdaleka widzi nadchodzącą Franceskę. Jakaś wysoka, smukła kobieta, odziana w żałobę, szła brzegiem trotuaru. Krajewski wysłał swą duszę na zwiady i przemienił się cały we wzrok.

W ślad za nim pobiegło ciekawe spojrzenie Konitza.

— Co pan tak fiksuje? — zaskrzeczał — tę w żałobie? to mecenasowa Basermannowa. Ja ją znam. Ale — ja nie lubię kobiet w żałobie. Trochę się do niej przystawiałem, ale jak włożyła na siebie po ojcu ten czaprak, tak zwiałem!

Więc to nie była Franceska. Kobieta w czerni przeszła mimo, nie odpowiadając na ukłon Konitza. Przeciwnie nawet spojrzała na niego ze zdziwieniem. Widoczne było, iż nie znała go wcale.

Nie była szpetna, a przecież Krajewski poczuł jakby wyrzut sumienia, iż mógł ją porównać z Franceską.

— Gdzie jej do tamtej — to poprostu jest karykatura mojej...

Zmieszał się, iż tak śmiało nazwał Franceskę »swoją«.

Szybko pożegnał Konitza, gdyż doszli właśnie do bramy restauracji.

— A ja panu mówię, chodź pan na Corso... — skrzeczał w dalszym ciągu uparty lowelas.

Krajewski wzruszył ramionami i wszedł do wnętrza jadalni. Odetchnął swobodniej, gdy znalazł się w tej obszernej, cichej sali, wykładanej do połowy drzewem, o witrażach barwnych a stonowanych, o drzwiach ciężkich, dębowych, bramowanych ciemnemi portjerami. Nieliczni goście siedzieli przy małych stolikach, porozstawianych bez ciżby dookoła. Wszystko tu było wykwintne i w dobrym tonie. Sala, krzesła, ludzie, usługa. — Krajewski dawno tu nie był, pogrążony w swem domowem życiu z Franią. Mimo to jednak odnalazł tu szybko siebie samego. Przypadek dopomógł mu łaskawie. Oto pod oknem, w zaciszu — siedziało dwóch jego dawnych, dobrych przyjaciół z Krakowa. Jeden z nich był nawet jego kolegą na wszechnicy Jagiellońskiej. Rad — przywitał się z nimi i zajął miejsce przy ich stole. Kolega jego wrócił z dłuższej wycieczki po świecie i pełen był dobrych i ciekawych wrażeń. Tem bardziej, że tym razem obrał sobie półwysep Skandynawski za cel swej podróży. Umiał opowiadać barwnie i ciekawie, a czynił to z hojnością bogacza, dzielącego się uprzejmie zdobytemi skarbami z bliźnimi. Drugi zaś, bardziej zadomowiony w swym olbrzymim majątku na skrajach Po-

dola, chętnie i skwapliwie wsłuchiwał się w te ciekawe i nieznane dlań światy. Przyłączył się do niego Krajewski i oto wytworzyła się szybko atmosfera, dysząca kulturą i nawodząca szerokie horyzonty. Obiad minął przyjemnie i Krajewski odpoczął w tem odpowiedniem dla siebie otoczeniu.

— Oto są... ludzie — pomyślał, patrząc i słuchając swych towarzyszy — oto są ludzie.

Nagle, zupełnie niespodziewanie padło nazwisko malarza, o którym wczoraj mówiła Franceska.

— Spotkałem się z nim w Elfkarleby. Bawił tam na studjach. Wracał już do kraju.

Krajewski podjął szybko:

— Nie widziałeś nic z jego szkiców?

— Trochę. O ile wnosić mogę, będzie to kompozycja wielkich rozmiarów i pomyślana szeroko. Wybrał sobie trochę suchy, brutalny koloryt, w który stroją się fjordy w jesieni. Będzie to dla rodzaju jego talentu odpowiednie.

Lecz Krajewski podjął żywo:

— A jednak ja poznałem jego talent z innej strony. Wprawdzie nie bezpośrednio, bo przez dzieło kogoś z jego... uczniów, ale wiem, że i on ma subtelne, delikatne zakątki, w których przebywa.

— Uczniów? — zadziwił się interlokutor. — Nie sądziłem, aby miał uczniów. Na to trzeba być bardziej ekspanzywnym i mniej egoistą. A on właśnie wydaje mi się, iż całą siłę koncentruje dla siebie, i jedynie dla siebie.

— Jednak tak było. Rozmawiałem wczoraj z kimś, który zawdzięcza mu wiele.

— Może się mylisz. A zresztą przypuszczam jedną ewentualność. Może to nie był uczeń, ale... uczennica.

Krajewski milczał krótką chwilę.

— Tak! — wyrzekł — tak, masz rację, pomyliłem się. To jest kobieta.

— Zapewne jakaś przygodna uczennica, lub może to samochwalstwo z jej strony.

— Och! — zaprzeczył gorąco Krajewski. — Ta osoba niema cienia samochwalstwa w sobie.

— Tem lepiej. Ale... czy nie wiesz, co się dzieje z Gwozdecką?

— Owszem! — odparł Krajewski, rad, iż przestano mówić o temacie, który nawodził myśl o Francesce — byłem u niej wczoraj.

— Jakże się miewa?

— Jak ona. Ani źle, ani dobrze.

— Myślałem o niej, będąc na półwyspie. Zwiedziłem bowiem wyborny zakład dla chorób tego rodzaju. Leczą tam sugestją i hypnotyzmem. Daje to bajeczne rezultaty. Możeby to jej pomogło. Muszę pójść do niej i pomówić z nią w tej sprawie.

Urwał na chwilę, poczem dodał z gorącą sympatją w głosie.

— Szkoda byłoby, aby tak sympatyczna kobieta zginęła z powodu braku właściwej pomocy.

To było wszystko, co zostało zamienione na temat kobiet. I później, gdy znaleźli się na piętrze

w pokoju hotelowym zajmowanym przez podróżnika i przy papierosach i czarnej kawie wiedli dalej rozpoczętą rozmowę, ani słowem brutalnem i obrzydliwem nie szarpnęli istoty kobiecej. Była w tem śliczna, rasowa dyskrecja, dystyngowany jakiś kult dla kobiety, której nie poniewierali i nie stawiali pod pręgierz ironicznej chłosty. Różnili się tem bardzo od przeciętnego kołtuństwa, które każe mężczyznom, skoro się zejdą w kilku, natychmiast wywłóczyć Kobietę i na ten temat urządzać swe podniecające gawędy, sprośne, niedyskretne, aż ociekające od podłej ironji, kłamstw, oszczerstw i ohydnych żartów i zwierzeń.

Krajewski, po świeżo przecierpianej rozmowie z Konitzem, oddychał teraz swobodnie i spokojnie. Wiedział, iż ci dwaj ludzie nie wyrzucili kobiety poza nawias swego życia. Przeciwnie nawet. Jeden z nich, ten obywatel ziemski — dobra i szeroka natura, miał już dawny stosunek z prześliczną aktorką teatru i uwielbiał ją gorąco, a ona odpłacała mu zato przywiązanie wierną i serdeczną miłością. Natomiast drugi, podróżnik, zakreślał sobie plan małżeństwa z jedną z panien »z towarzystwa«, sympatyczną, dzielną dziewczyną, mającą wszystkie dane na doskonałą żonę, matkę i panią arystokratycznego domu.

W ten więc sposób nie było tu miejsca na chwilowe, tandetne miłostki. Jeśli kobieta wchodziła tu w grę, to serjo, stale, uczciwie i okolona jakąś aureolą wyższości. Odczuł to w tej chwili Krajewski i po-

czuł się na równym sobie terenie. I on nie traktował kobiety przejściowo i tem różnił się od kołtuństwa. Jego »sentymentalizm«, często wyszydzany nawet przez niego samego, był tu na miejscu i nie traktowany fałszywie. Oprócz bowiem dzielności pewnej i subtelnej, z jaką ci ludzie do kobiet się zwracali, każden z nich na dnie duszy żywił błękitny kwiatek uczucia, który go chronił przed zgniłą rozpustą.

Nie byli śmieszni posiadając taki kwiat.

Przeciwnie — byliby śmieszni nie posiadając go wcale.

Siedzieli tak długo jeszcze razem, jakby nie mogli nasycić się sobą. Niema nic piękniejszego na świecie, jak takie zejście się kilku niepospolitych i pełnych wykwintnej kultury mężczyzn, mających ze sobą dużo wspólnego. Krajewskiego z tymi dwoma łączyło wszystko. Pochodzenie, wykształcenie, rasa — poglądy na życie — odnoszenie się myślowe do całokształtu ludzkości. Dlatego odżył wśród nich, tak jak wczorajszy wieczór pozwolił mu odżyć w stosunku do kobiet.

Franceska, Gwozdecka, ich cicha, łagodna, piękność zagarnęły go w swoje panowanie.

Teraz ci dwaj...

Było mu dobrze.

Rozstał się z nimi, z postanowieniem zobaczenia się jak najprędzej. Lecz gdy znalazł się sam nie poszedł do biura, jakkolwiek od dziś właśnie zaczynała się dwurazowa służba. Nie mógł przenieść na sobie myśli zobaczenia Konitza i jemu podobnych.

Nigdy jarzmo biurowe nie wydało mu się tak ciężkie, jak w chwili obecnej.

Tułał się po ulicy bez celu. Chwilę powstał w nim zamiar schronić się bodaj do kinematografu, tem bardzej, że zaczął padać deszcz wprawdzie ciepły, ale niemiły i przenikający do kości. Lecz prędko odrzucił tę myśl od siebie. Nienawidził tej cuchnącej atmosfery, jaką są przepojone te sale, gromadzące w sobie przeważnie źle umyte pospólstwo — żądne głupiego widowiska, odpowiedniego przeważnie dla głuchoniemych. Rzadko kiedy wytrzęsła się jakaś rzecz wartościowa, najczęściej okaleczona i zeszpecona »moralnem zakończeniem«, które nagle wykwita na steku głupoty i bezeceństw błazeńskich. I tak — włóczył się bezcelowo tu i tam, sprawdzając tą bezcelowością jałowość swego życia i bezdenną pustkę duchową urządzenia tego miasta, które miało wszystkie cechy przedpokoju, służącego za skład szaf i sztychów wyrzuconych z apartamentu. Było to przechodnie miejsce, tworzone bez myśli i celu służenia na jakiś choćby chwilowy, przytulny zakątek. Wpadano i wypadano po to, aby »żyć« właściwie gdzieindziej.

Ściemniało się powoli. Ślimaczo, wśród deszczu, zaczynały migotać latarnie. Mimowoli Krajewski skierował się w stronę ulicy, na której mieszkała Franceska. Przedtem jednak wstąpił do sklepu z kwiatami, wybrał kilka wspaniałych gałęzi białego bzu i kazał natychmiast odnieść pod adresem Gwozdeckiej. Dołączył swój bilet, na którym nie na-

kreślił ani słowa. Miłą mu bowiem była myśl, że jego kwiaty zajmą miejsce w kryształowym wazonie przed oczami Franceski. Zdawało mu się, że to zacieśnia niejako węzeł, który się zawiązał pomiędzy nimi dwojgiem. Doszedłszy do tych ulic, cichych i przytulnych, zaczął wśród świateł latarni szukać białych [illegible], oznajmiających pokoje do najęcia. Było ich mało, snać ludzie tu mieszkający zazdrośnie zamykali drzwi swych »wnętrz« — i pragnęli żyć sami, nie dopuszczając intruzów do swego domu.

Zbyt ciemno było, aby Krajewski odcyfrował co na tych kartach było napisane. Postanowił powrócić tu w dzień. Ciągnęło go, aby przejść mimo domu, w którym mieszkała Franceska. Lecz — nie uczynił tego. Nie z obawy, aby go dostrzegła. Wiedział bowiem, że teraz z pewnością jest u Gwozdeckiej, lecz w poczuciu jakiejś dziwnej delikatności wobec siebie samego.

Nie mógł jednak oprzeć się chęci pójścia na ulicę, na której mieszkała Gwozdecka. I przesunął się jak cień po drugiej stronie ulicy, patrząc pilnie w okna jej salonu. Story były spuszczone, ale przeświecało przez nie zielonawe, miłe światło.

Natychmiast odtworzył sobie obraz tych dwóch przedziwnych kobiet, znajdujących się we wnętrzu wytwornie urządzonego mieszkania. Milczały zapewne, pochylone każda nad swoją wykwintną pracą, a może mówiły przyciszonym głosem o nim właśnie. Na tę myśl zrobiło się mu jasno na duszy i zarazem ogarnęła go jakaś trwoga. Szalonym pędem

przebiegł myślą wytyczne punkty swego życia. Czy były one zawsze po prostej linji wielkiej szlachetności, a zwłaszcza wielkiej piękności? Wydało mu się, że było tak w istocie. Ale przeląkł się czegoś innego. Bał się »drobiazgów« — tych rzeczy pobocznych, które narastają na drzewie życia stopniowo i niedostrzeżone, zatracając właśnie doskonałość samej głównej linji i rysunku, w którym to drzewo rozwijać się zdawało.

— O te drobiazgi nie chodzi! — lękał się i trwożył. Nie wiedział bowiem, czy Franceska należy do tych natur, które odrzucają odrazu powierzchowne naleciałości, a patrzą wprost w dno rzeczy.

— Zdaje się, że jest właśnie taką! — pomyślał, zdjęty trwogą.

Zawrócił w stronę swego mieszkania. Było już późnawo i czuł się znużony. Idąc, wstąpił do jakiejś wytwornej cukierni na szklankę herbaty, którą wypił duszkiem, nie patrząc na otoczenie. Przez szklane drzwi, wiodące do pokoju do palenia, widział kilku swoich znajomych, wiodących jakąś wesołą rozmowę. Nie przyłączył się do nich. Mowa ludzka bardziej niż kiedykolwiek wydała mu się bezużytecznem gdakaniem.

— Niechże gdaczą sobie zdrowi! — pomyślał z niesmakiem, wysuwając się szybko z cukierni.

VI.

Gdy przekręcił klucz w zamku swego mieszkania, ogarnęło go uczucie trwogi, aby nie spotkać się z Romanową. Nie mógłby znieść jej widoku. Gdy dochodził bowiem do kamienicy, zamieszkałej przez siebie, zdawało mu się, iż jakieś blade światełko majaczyło w oknach jego pokoju. Światełko to nagle zagasło. Romanowa miała drugi klucz od jego mieszkania. Mogła więc tam być właśnie. Lecz gdy wszedł do wnętrza, było pusto. Natomiast tylko przez okna jak zawsze padały smugi światła i słały się po podłodze. Krajewski zesunął ze siebie palto i nie zapalając lampy zaczął przygotowywać się do spoczynku. Ogarnęło go jakby zdziwienie. W pokoju było świeżo, ciepło i panowała jakaś nieokreślona, ale sympatyczniejsza atmosfera. Nie unosiły się widoczne te tumany kurzu jak dotychczas.

— Czyżby Romanowa posprzątała? — zadziwił się. — Fakt niezwykły!

Gdy kładł się do łóżka, poczuł świeżość czystej pościeli. Przesunął ręką i sprawdził, że wszystko było świeżo obleczone, a dobrze wyprasowane płótno

miało gładkość niezrównaną. Z początku z pewną rozkoszą zanurzył się w tej świeżości, będąc pewnym, że zaśnie natychmiast. Lecz — oto — zupełnie niespodziewanie zaczęły w nim jakby z ukrytych legowisk budzić się nerwy i drżeć i łaskotać go nieznanem mu prawie bolesnem uczuciem. Całe ciało jego stawało się jakby harfą, po której strunach siekł ktoś rozpalonemi rózgami. Nie umiał nawet zrozumieć i odcyfrować, co to za dreszcze. Wprędce tylko pojął, że to jakiś wpływ zewnętrzny, magnetyczny ma dostęp do niego. Czasem, Frania w wyjątkowe dnie, sprawiała mu taki ból, gdy głaszcząc go rękami, szeptała przez zaciśnięte zęby.

— Tatuńciu!

Porwał się z pościeli i jął drżącemi rękami zapalać lampę.

— Będę czytać! — postanowił.

Lampa była napełniona czystą naftą z knotem świeżo założonym i równo obciętym. Zapłonęła natychmiast jasnem i spokojnem światłem.

Powoli uwydatniła się korzystna zmiana całego wnętrza. Ogarnął ją Krajewski tępo i niechętnie. Zląkł się, że te ściany, wzgardzone przez niego w ostatnich chwilach, odzyskują znów jakąś moc wiążących wspomnień bolesnych i drogich.

Sprzęty stały na swoich miejscach, podłoga była zafroterowana aż lśniąca. Okno wymyte, to samo i szkła na szkicach i stalorytach, zdobiących ściany. Umywalnia polakierowana i cała aż błyszcząca od doskonale wyczyszczonych przyborów. Ze

szczególną pieczołowitością doprowadzony był do porządku kąt, w którym królował primus i garnuszki i ryneczki, w których Frania gotowała kakao, grzała wodę i prowadziła z piosenką na ustach swoje miniaturowe gospodarstwo.

Kufer Frani był przykryty jakimś starym kilimkiem, który był Krajewskiemu nieznanym. Nikł w ten sposób i usuwał się w cień. Od pieca szło miłe ciepło, a sam piec aż lśnił od doskonale poczyszczonych kafli. Firanki, portjera były potrzepane i zwisały w symetrycznych fałdach.

— Co się Romanowej stało! — dziwił się Krajewski, zbliżając się do biurka, na którem leżały jego książki.

I tu spotkała go niespodzianka.

Ani śladu kurzu i nieładu. A co dziwne, ten jakiś instynkt, kierujący ręką, która tu ład zaprowadzała. I te drobiazgi, jak założone nowe pióro w obsadce, świeży arkusz bibuły, rozłożony pod teczką, napełniony kałamarz, lak, świeca, flaszeczka z gumą...

— Doprawdy! — pomyślał — Romanowa zasługuje na podwyższenie pensji.

Wziął jedną ze swoich książek i powrócił do łóżka. Zapalił papierosa i gdy chciał strzepnąć narastający popiół, cofnął wyciągniętą już rękę.

Na stoliku obok łóżka, obok karafki z wodą i szklanki ujrzał przygotowaną popielniczkę w formie muszli, na której brzegu przysiadła żaba. Było to brzydkie, utwór i arcydzieło wiedeńskiej tande-

ty — przywleczone przez Franię jako imieninowy prezent. A tak była zakochana w tem szkaradzieństwie, tak dumna ze swego wyboru, iż Krajewski pozwolił jej postawić tę »żabcię« koło łóżka i sam posługiwał się nią, gdy palił przed zaśnięciem.

A raczej posługiwali się oboje, bo i Frania paliła z nim na spółkę papierosa, sennie prosząc cała spowita w swe gąszcze ciemnych jedwabistych włosów:

— Tatuńciu! raz tylko, niech się Frania zaciągnie!

A potem, gdy już znużona zapadała w bezwład snu, szeptała:

— Dobranoc Tatuńciowi, dobranoc żabce, dobranoc!...

Czyniła z tej »żabki« żyjącą jakąś istotę. Twierdziła, że »żaba« jest chytra. Raz nazwała ją »histeryczką«. To znów — odwracała ją lub przykrywała książką w obawie, aby się nie zgorszyła widokiem ich pieszczot. Raz nalała jej do pyska kakao i zanosiła się srebrzystym śmiechem, tańcząc przed »żabcią« — i wyprawiając łamańce. Kąpała ją codzień i szorowała starą szczoteczką od zębów, a potem suszyła przy piecu — żeby się »durna nie zaziębiła!« I oto nagle — ta »żabcia« zjawiła się obok Krajewskiego wymyta, wyszorowana, chytra i wspomnień pełna. Krajewski przypomniał sobie, że po ucieczce Frani rzucił gdzieś do kąta to szkaradzieństwo, tak bogate we wspomnienia i jakby zaczarowane w uśmiechy i wdzięk tej, która odeszła. Lecz teraz oto po-

wróciła jakby zaklęta i zjawiła się w kręgu lampy, zastygła napozór w swym tanecznym ruchu, a tętniąca cała od tej siły życiowej, która zdawało się, że już w tych ścianach odżyć nigdy nie może.

Powoli — jakby bez własnej woli — odłożył Krajewski otwartą już książkę i sięgnął po ową popielniczkę. Gad szarpiący go i przyczajony nad podziw przycichł i ułożył się, jakby na dnie serca. Natomiast powstała w nim cicha, bezimienna tęsknota, która ogarnia człowieka, klęczącego zbyt długo o wiosennym zmierzchu u kraty ukochanego grobowca. Niema w niej miejsca na bunt, na głośną rozpacz, na krzyk, przerywający nieubłaganą pustkę. Jest natomiast — to co otula, co przygarnia, co ma w sobie ciepło i przyrzeczenie, że ból już nie wróci, że oto spokój wyciąga ramiona i oczekuje w pobliżu. Krajewski wpatrzył się w ten drobiazg gliniany, w to *nic*, w to śmieszne, małe nic.

I do oczów zaczęły mu napływać bardzo nie męskie, ale bardzo ludzkie łzy. Nie ocierał ich, godził się z niemi, prawie witał je z radością.

Bo — oto płakał w nim ten poeta, który według Sainte-Beuve'a istnieje w każdym z nas, lecz umiera, aby ustąpić miejsca człowiekowi przeżywającemu samego siebie.

A według Musseta ten poeta żyje zawsze — nie umiera, ale śpi.

A gdy się obudzi na chwilę uśmiecha się lub — płacze.

VII.

Znów brylantowy ranek go zbudził i cały złoty zajrzał doń przez szczeliny okien. Powiódł sennie po swym pokoju. Staranność, z jaką zrobione były owe »porządki« — wystąpiła na jaw jeszcze z większą siłą. Lecz teraz zimno było i nieprzytulnie. Dreszcze go przebiegały i głowa ciążyła. Pragnąłby chętnie pozostać w łóżku i nie iść do biura.

Lecz właśnie, na przekorę tej jakiejś bezwładności, która go brała, postanowił podnieść się natychmiast.

— Nie dam się! — myślał, odziewając się i myjąc pośpiesznie.

W lustrze zauważył, iż ma na twarzy wypieki i oczy świecą mu się w jakiś dziwny sposób.

— Dobrze dziś wyglądam! — powinszował sobie, rad z tego.

Przed bramą zastał Romanową, która wzbijając tumany kurzu zdartą miotłą, robiła na ulicy czystość.

— Posprzątaliście wczoraj u mnie? — zapytał, nie patrząc na nią.

Chytrze łypnęła oczkami.

— Ta ja! A któżby?

— Macie tu dwie korony.

Dał jej pieniądze, które przyjęła jakoś lekceważąco.

— A pamiętajcie, aby już teraz tak zawsze było.

— Niech się wielmożny pan nie boi. Teraz już tak zawsze będzie.

I zabrała się do zamiatania. On zaś poszedł w stronę biura. Przedtem wstąpił na kawę do tej wykwintnej cukierni, w której był wczoraj wieczorem. Podobało mu się to, że nikt mu tam nie mówił »panie radco« i nie pytał o »panią radczynię« dobrodziejkę. Przytem — tutaj nic nie przypominało mu, iż istnienie nasze to jest tylko sen. Nie był tu nigdy z Porankiem, nie było jej widma w tych ścianach. W nocy ubiegłej płakał chętnie i czuł w tych łzach ulgę, lecz teraz — po dniu samo wspomnienie tych łez bolało go i upokarzało. Zanadto wrośnięty był w niego przesąd, iż »mężczyzna płakać nie powinien«.

Biuro dzisiaj prawie nie istniało dla niego. Idąc, wziął ze sobą tom nowej jakiejś powieści i pogrążył się w tę lekturę z większą niż przypuszczał łatwością. Naprożno Konitz zaczepiał go i zapraszał do podziwiania jakiejś wiosennej, ceglastej zarzutki, którą dziś inaugurował. Krajewski pozostał niewzruszony i wyszedł wcześniej z biura, nie żegnając nikogo.

Osądzono go zaraz po koleżeńsku, iż »ma swego bzika« — i zrobiono za nim krzyż, gdy drzwi zamknął.

On tymczasem poszedł szybko do swego introligatora i ucieszył się, widząc, że ten wyjątkowo dotrzymał słowa i rzeczywiście oprawił rysunek Franceski ściśle według danych mu informacyj.

Istotnie — było to bardzo dostosowane i podnosiło piękność wykonania. Kazał zapakować delikatnie, sam nawet dopomógł i odmówił odesłania rysunku do mieszkania, jak mu to introligator proponował. Nie chciał się z nim rozstać ani na chwilę. Poniósł, jak kwiat cenny, jak talizman, chroniący go od złego. Gdy wszedł do sali restauracyjnej hotelu Europejskiego nie zostawił rysunku w szatni, lecz wziął go ze sobą do stołu. Lękał się, aby mu kto nie zniszczył lub aby ktoś przez pomyłkę nie zabrał ze sobą. Z żywością czepiania się nowych wrażeń zaczął już przywiązywać doń olbrzymią wagę i nadawać mu rolę w swem życiu. Nie odczuł nawet zbytnio zawodu jakiego doznał, dowiedziawszy się od kelnera, że jego wczorajsi mili towarzysze nie zjawią się już więcej dnia tego.

— Kazali jaśnie pana przeprosić. Dziś rankiem pojechali! — tłumaczył usłużnie.

Krajewski skinął głową i kazał podawać obiad. Co więcej — nawet rad był, że jest w tej chwili sam. Oprócz radosnego uczucia, jakie mu nawodził podarek Franceski, znajdujący się obok niego, gorączkowa niemoc, która go rankiem ogarnęła, występo-

wała chwilami ze zdwojoną siłą. Gdy wyszedł z restauracji przejrzał się znów w lustrze wmurowanem w sieni.

— A przecież doskonale wyglądam, więc nie jestem chory! — pocieszał się, widząc błyszczące oczy i purpurowe usta i rumieńce, zdobiące twarz jego.

Wyszedłszy na ulicę postanowił pójść zaraz w stronę mieszkania Franceski i przejrzeć karty mieszkaniowe, wywieszone na tych ulicach.

— Może się tam coś dla mnie znajdzie odpowiedniego! — pomyślał.

Gdy wydostał się na tę dzielnicę szedł wolno, czytając uważnie ogłoszenia. Dwa razy wstępował lub wychodził zawiedziony, nie mogąc znaleźć nic odpowiedniego. Zwłaszcza szwankowały wejścia do tych pokoi. Łączyły się bowiem z przedpokojami właścicieli i czyniły lokatora jakby podległym kontroli ludzi obcych.

— To niemożliwe! — myślał z niesmakiem — byłbym skrępowany.

Lecz zaraz wypłynęło w nim pytanie.

— Skrępowany? właściwie w czem?

I coś tam zadzwoniło w oddali.

— Gdyby... Frania... gdyby Poranek...

Szarpnął się cały.

— Oszalałeś, czy co!

I dodał sobie samemu, jako obelgę.

— Warjat... warjat...

Chcąc się ukarać za tę myśl wstąpił do następ-

nego »kawalerskiego pokoju« — z postanowieniem wzięcia go z zamkniętemi oczami. Ulica przy której się ten pokój znajdował graniczyła z ulicą, na której mieszkała Franceska. To było mu miłe, a zarazem jakoś niepokoiło go.

— Czy nie za blisko! — pomyślał. — Może to będzie wyglądało, że się narzucam. A... tak pragnąłbym pozyskać w niej choćby... przyjaciółkę.

Skromnie określał swój stosunek do tej kobiety, nie pragnąc na razie nic więcej.

Pokój, do którego wstąpił podobał mu się więcej, niż inne. Duży był, czysty — zafroterowany. Wchodziło się doń również z przedpokoju, ubranego w ciemne, świeże portjery. Wszystko tu zaznaczało ład i drobiazgowy porządek. Nie było tu miejsca na żadne rozwichrzone gospodarstwo, ani chwilowe, przygodne pożycia.

— Tem lepiej! — pomyślał Krajewski.

Pokazywała mu ten pokój spokojna, ubrana czysto służąca, nie młoda, bezbarwna — jedna z tych, które garnirują feretrony na procesjach.

— A ja usługuję — objaśniała grzecznym, wyuczonym głosem.

Czuł, iż byłoby mu tutaj nieswojsko, ale porwał się jakby za gardło i zmusił do heroicznego czynu.

— Ja ten pokój biorę!

Chciał dać odrazu zadatek i sięgnął do kieszeni. Lecz powstrzymał się.

— Jutro przyjdę z zadatkiem.

Sługa skłoniła się grzecznie i obojętnie.

— A dzieci tu niema? — badał jeszcze Krajewski.

Służąca spojrzała na niego, jakby obrażona.

— Państwa jest tylko dwoje. U nas żadnych dzieci niema...

— A nikt nie gra na fortepianie?

— Państwo radcowie nie lubią, jak kto hałasuje. U nas niema fortepianu.

— A!... więc to... radcowie?

— A cóżby innego?

Stanowczo czuła się urażona, iż ktoś śmiał powątpiewać o dostojności jej państwa i o ciszy, w jakiej żywot swój pędzili.

— Więc ja tu jutro rano przyjdę... a może jeszcze dziś wieczór. Do której godziny państwa radców widzieć można?

— Kolacja jest u nas o wpół do siódmej, a o ósmej państwo już się kładą spać.

— A... tak?... to dobrze, to bardzo dobrze... ja przyjdę o szóstej...

Wyszedł bardzo szybko i nie oglądał już więcej kartek mieszkaniowych.

— Wezmę ten pokój, bardzo dobry, odpowiedni... przyzwoite otoczenie, właściwe dla mnie... — perswadował sobie, idąc powoli wzdłuż murów kamienicznych.

Nagle, jakby go coś dotknęło lekko, ale wyraźnie.

Podniósł głowę i w parterowem oknie jednej

z kamienic ujrzał Franceskę, która była zajęta ustawianiem na słońcu jakichś wazonów z bujnemi, soczystemi roślinami.

Koronkowa stora była odsunięta, a oprócz tego podniesiona jakaś ciemna, ponsowa firanka tworzyła jakby dekorację na wzór Romnaya. Franceska była w czerni — z kołnierzem u szyi silnie odchylonym i zdumiewała prześlicznym, delikatnym kolorytem twarzy. Światło dzienne wydobywało na jaw tę wielką delikatność cery, jakby wypielęgnowanej w głębi jakichś apartamentów. Była to bladość prawie smętna, trochę podbarwiona błękitem żył ku skroniom i cieniem długich, wyjątkowych rzęs. Wpatrzona w liście roślin stała tak spokojnie, zaledwie posuwając rękami.

Krajewski zwolnił kroku zachwycony widokiem jej piękności, którą kontrast jaskrawego dziennego światła czynił jeszcze rzadszą i cenniejszą.

— Cudowna! — pomyślał — cudowna!...

W tej samej chwili Franceska podniosła powieki i dojrzała go. Ukłonił się. Oddała mu ten ukłon uprzejmie, bez śladu zmieszania. Lecz powoli, jakby uczyniła ruch, znamionujący chęć cofnięcia się w głąb apartamentu. Przeraził się. Chciał ją zatrzymać za jakąkolwiek cenę. Szybko przeszedł przez ulicę i podszedł do okna. Ona zatrzymała się, jakby zdziwiona jego śmiałością.

Czuł niewłaściwość tego kroku, lecz postanowił zaryzykować wszystko.

— Jak się cieszę, że panią widzę! — zaczął

z udaną swobodą w głosie — wracam właśnie od introligatora — rysunek pani jest już oprawiony...

Zainteresowała się widocznie. Zbliżyła się prawie na krawędź okna i odgarnęła liście roślin.

— Oto on!... — mówił dalej Krajewski — nie wiem jednak, czy dobrze zrozumiałem intencje pani...

I nagle postanowił być zuchwałym do ostatnich granic.

— Pani tu mieszka? może pani mi pozwoli wstąpić i pokazać sobie rysunek...

Czekał na odpowiedź z biciem serca. Lękał się, że łamie w ten sposób wszystkie konwenanse, że wdziera się do tego cichego i spokojnego wnętrza, które przeczuwał poza tem oknem.

Lecz spotkała go niespodzianka.

Franceska zupełnie spokojnie przyjęła jego prośbę.

— Proszę! niech pan wejdzie! — wyrzekła z wielką, prostą wyniosłością w głosie.

I cofnęła się — opuszczając koronkową, o wykwintnym deseniu, storę.

VIII.

Gdy Krajewski stanął przed drzwiami mieszkania Franceski, zatrzymał się chwilę.

Miał wrażenie, iż oto odwraca się przed nim jedna z nieznanych a nie zapisanych przez niego kart jego życia. Jakaś trwoga go nagle ogarnęła, ale trwoga bardzo skomplikowana. Przeraził się, czy oto nie rozpoczyna znowu prząść nić jakiegoś długiego sentymentu. Tego się lękał najwięcej, tem bardziej, że tu sentyment musiałby mieć wszelkie cechy dobrego wychowania i pewnej staroświeckiej obłudy i wytworności. Lecz już nie czas było zawracać i w ucieczce salwować swą księgę życiową. Tam — o kilka kroków czekała ta piękna i wytworna panna, nie należy więc, aby czekała zbyt długo.

— Zresztą... to mnie przecież do niczego nie zobowiąże... uspokajał się, starając odkryć możliwą ścieżkę odwrotu.

I już uspokojony ogarnął wzrokiem sień, do której wszedł i drzwi, przed któremi stanął. Wszystko tu było czyste, wzorowo utrzymane. Chodniki podwójne — drzwi bez śladu pyłu, skrzynki do li-

stów wew[illegible]z mieszkań, rameczki do biletów wizytowych, aby uniknąć kaleczenia drzwi tabliczkami przygodnie przytwierdzanemi. Na bilecie, zasuniętym za ramkę, przynależną do mieszkania Franceski odczytał:

— »Teodor Werner, c. k. nadradca sądowy«.

Uśmiechnął się mimowoli.

— Jeszcze jeden! — pomyślał, przyciskając dzwonek.

Natychmiast prawie drzwi przed nim otwarto i zajaśniało elektryczne światło. Widocznie przedpokój był ciemny, a przyciemniony jeszcze bardziej portjerami, bramującemi kilkoro drzwi. Przed Krajewskim stanęła służąca, wierna kopja tej, którą widział w mieszkaniu owych »radców« — u których zamierzał wynająć pokój. Podał jej swój bilet, przyjęła go obojętnie i machinalnie. Załatwiła się szybko. Otworzyła mu drzwi do salonu, mówiąc.

— Panienka prosi!

Krajewski wszedł do salonu jakiś niepewny i zmieszany. Wszystko to zaczynało się stawać zbyt szybko i niezrozumiale. Przytem lękał się spojrzenia, z jakiem przywita go Franceska. Bał się, aby nie było zanadto »mądre« — zanadto wyniosłe i spokojne...

Pragnął, aby w tem spojrzeniu była przewaga kobiecości, to jest lód i ogień zarazem, coś, coby odkryło choć kącik wnętrza tej doskonałej istoty.

Jednem słowem bał się właśnie tej — doskonałości.

Przyszło mu to nagle, gdy przestąpił próg jej domu i ona sama tym drobnym faktem z dziedziny marzenia i i abstrakcji stawała się dlań — rzeczywistością.

Lecz napróżno pragnął on tego rysu kobiecego zmieszania w ruchu, jakim go powitała, odchodząc od okna i postępując ku niemu. Była »panią siebie« w każdym calu. Przyzwyczajony, iż wywierał pewien magnetyczny wpływ na kobiety, uczuł się tem dotknięty. Zapomniał, iż od kilku dni marzeniem jego było znaleźć się w takiej spokojnej, równej atmosferze. I już brakowało mu tej jakiejś szarpiącej kokieterji, z którą mógłby skrzyżować szpadę swej zalotności. Pożądał i szukał przyjaciela, a już zabrakło mu znalezienia się wobec — wroga.

To wszystko skłębiło się w nim w chwili, gdy usiłował z całą gracją i wytwornością prezentować Francesce ten rysunek, o który zdawało się, że im głównie chodzi. Ona łaskawie aprobowała ową oprawę i zaprosiła go, aby zajął miejsce naprzeciw niej w jednym z głębokich foteli, obitych trwałym, ciemno-czerwonym aksamitem. Zresztą — wszystko tu było solidne, wszystko »na długą metę« — i na wyrost życiowy obmyślane. Widać było, iż meble te staromodne (ale nie staroświeckie) służyły wiernie i dobrze już oddawna i wiedziały, że służyć jeszcze mają długo i nie śmią zbuntować się w tej służbie.

Powinien był przecież uspokoić się w tem otoczeniu i zatonąć jakby w równowadze moralnej, którą te ściany przepełnione były. Tymczasem stało

się z nim coś niespodziewanego. Gorączka, która go trawiła zaczęła kłębić się i burzyć, jakby podsycona nowym, silnym ogniem. Gryząc wargi i zaciskając zdenerwowane palce na ramionach fotela, śledził wzrokiem Franceskę, która pięknym gestem odsuwała cokolwiek od siebie podany jej rysunek, chcąc widocznie zbadać jego efekt w odmiennem oświetleniu.

Mówiła przytem łagodnie i przyciszonym głosem, jakby obawiała się przerwać sen komuś opodal spoczywającemu. Mówiła o rzeczywiście ważnej roli, jaką grają tak zwane *passe-partout* odnośnie do akwareli, rysunków, stalorytów, sztychów i innych tego rodzaju dzieł sztuki. Odpowiadał jej, siląc się dostosować do jej spokoju — a przecież głos jego drżał, nabrzmiały niepokojem i żarem. Tłumaczył sobie, że obecność tej kobiety zaczyna w nim budzić niższe instynkta, które przygniecione minionemi wypadkami — uśpione się zdawały.

— Szkoda! — pomyślał — szkoda, że jest tak piękną i że linje jej układają się tak czarująco... szkoda!

Równocześnie chłonął niemal w siebie tę piękność. I usiłował również stłumić w sobie niewyraźnie budzące się gorączkowe pożądania, a sprowadzić uwielbienie swoje jedynie do odkrywania wewnętrznych walorów siedzącej przed nim dziewczyny.

— Cudny byłby z niej przyjaciel! — rozmyślał, śledząc wyraz jej ust, mających dziwny dar zmie-

niania swego wykroju w zastosowaniu do słów, które z nich płynęły.

Lecz równocześnie z tym wyrazem to słodkim, to bolesnym, to jakby wyczerpanym po to, aby zabłysnąć nagle jakąś mocą i energją życiową — zaczął admirować świeżość tych warg drobnych, ich purpurę zadziwiającą wobec bladości oblicza i rąk.

Milczał, zapatrzony i niepewny, co przeważało w nim w tej chwili.

— Cudny byłby z niej przyjaciel! — wirowała w nim myśl, jakby zaklęta w tem kole.

Umilkła wreszcie, jakby zdziwiona i patrzyła na niego przez chwilę. I nagle zrozumiała w wyczerpaniu, z jakiem padł na fotel, z jego twarzy, choć podnieconej, ale zmiętej i nieszczęsnej, że ten człowiek przeżywa jakąś tragedję wewnętrzną, że stanął u dna zwątpienia, goryczy i rozpaczy — tragedję, która idzie w ślad za nim i oto stoi widmem niezwalczonem. I w obojgu nich powstało jedno, wielkie pragnienie.

Oto — on byłby dał może resztę swego życia za to, ażeby odrzuciwszy od siebie owego, budzącego się w nim »mężczyznę« — paść u jej kolan i wyspowiadać się z tego, co go dławiło w głębinach jego istoty. I to wyspowiadać się bez osłonek, bez zastrzeżeń, odkryć wszystkie tajnie i najciemniejsze zakątki tego, co było jego hańbą, potępieniem i najwyższą rozkoszą zarazem. Sądził, iż w ten sposób zginie w nim to jeszcze, co błąka się we krwi z nieszczęsnej jego do tamtej dziewczyny namiętności —

że wyschnie nagle błotnista tafla mętnych wód, w których przeglądał się bezustannie, trawiąc i niszcząc własne siły życiowe.

Tego pragnął — takiej chwili i spowiedzi bez zastrzeżeń, runięcia do stóp tej doskonałej, anielskiej kobiety i odsłonięcia przed nią krwawej rany swego spodlałego serca.

— Takim jest!... patrz! do jakiego stopnia upadku stoczyłem się! połóż mi na sercu twe przeczyste, czarujące dłonie! chroń mnie! dźwignij, jeśli jeszcze czas... lub pozwól umrzeć, ale w kręgu twej piękności i doskonałości niezrównanej.

Kiedyś — dawno na oddalonym cmentarzu znalazł się nagle o zachodzącym zmroku. Gdzie to było? Nie pamiętał. Może w Rawennie, może w Montmorency, może na jakim mieszczańskim cmentarzu, na którym już umarłych nie chowają, bo niema miejsca, bo trumny zajęły każdy kątek i piętrzą się jedna na drugiej, rozpadając się i mieszając ze sobą piszczele, żebra i to co było niegdyś pięknością, harmonją i doskonałością wszelaką. Dość, że był to opuszczony cmentarz, zarosły chwastami i okryty cieniem olbrzymich drzew. Szedł wąską ścieżyną, a potem stracił i tę linję i popadł w gąszcz zielska i zapadłych mogił i pokrzywionych krzyży. Nagle — wykwitł przed nim zupełnie niespodzianie pomnik wytworny, kosztowny, bogaty — w formie wielkiego Anioła, z białą jak opłatek twarzą i śnieżnej białości rękami. Szata zaś była czarna, lśniąca, cokolwiek od szarugi i deszczów zniszczona — lecz królewska.

dostojna i nawskróś żałobna. Nic nie zdoła oddać tego surowego spokoju, z jakim Anioł ten opadł na płytę grobowca, ozdobionego jakiemś nazwiskiem i jakąś datą. Lecz o to nie chodziło bynajmniej. Tu szło głównie o figurę tego Anioła, który miał w sobie całą boską, niezrównaną rezygnację, z jaką chłopki wołyńskie siadają przy grobach swych dzieci. Żadnego buntu, nic, coby mówiło »dlaczego?« Siedzą martwe, z twarzą pobladłą, zwróconą ku zachodzącemu słońcu. I ręce mają jakby wyciągnięte miłosiernie do tych, co przechodzą jeszcze, dążąc do nieposkromionych chęci życia, pomimo, iż to życie dawno załamało się w nich pod ciężarem obłąkanych namiętności, któremi wypełniali swe istnienia.

Krajewski zatrzymał się przed tym posągiem i nagle z głębin najtajniejszych jego duszy wypłynęła myślą taka spowiedź jego życia. Ku tym białym rękom, ku tej białej twarzy, ku temu smukłemu, nieruchomemu ciału efeba otwierała się cała księga jego skłębionej, zwichrzonej przeszłości. Skąd mu to przyszło, nie wiedział. Dość, że stał tak, jakby u krat konfesjonału i podawał nie drobiazgowość faktów, lecz całość tego ciężaru, który wlókł za sobą, a który w tej chwili zdawał mu się nie do zniesienia.

— Zrozum mnie! — błagał kamiennej postaci, po której ślizgały się purpurowe blaski, — osądź, i... ratuj!

Anioł milczał, zapadając w coraz większy mrok — lecz zdawał się w miłosierne swe dłonie

zabierać całą tragiczną przeszłość żalącego się przed nim mężczyzny.

Słońce gasło powoli, po drzewach cmentarza przebiegł dreszcz konającego dnia, jakiś ptak w oddali odezwał się ostrym, bolesnym krzykiem i umilkł, jakby tym krzykiem pożegnał światło i ruch.

— — — — — — — — — — — —

Tak myślał, siedząc teraz naprzeciw Franceski, która odłożyła rysunek i ręce swe splotła na kolanach z doskonałym wyrazem modlitewnego spokoju. Lecz nie dał folgi swemu pragnieniu. Milczał o tem, co dławiło go i było jego bolem, a więc treścią jego życia. Ona również umilkła, zapatrzona w niego i również niewyznanych a rodzących się w niej nagle myśli pełna. Uderzyła ją sterana i spalona jego twarz, która w tem świetle dziennem ujawniała całą wewnętrzną rozterkę, która go musiała trawić. Przepyszne jego rysy wychudłe były, a oczy zapadnięte i pełne niezdrowego, gorączkowego blasku. Aż wył i płakał w nim ból nieprzespanych nocy i jakichś zmagań, które jak huragan zgięły go ku ziemi. Z twarzy jego, z warg, z rąk wypił jakiś nieznany jej wampir wszystką krew i uleciał, nie oglądając się na ten łachman, który pozostawił.

Czuła w nim walkę najstraszniejszą, jaką człowiek podjąć może — bo walkę ze sobą samym. Podjął ją, nie obliczywszy swych sił, przeto sterany był ciągłą przegraną, do której przyznać się nie chciał. W zapamiętaniu swem marzył jeszcze o zwycięstwie,

do którego dojść nie mógł, szarpany po drodze wichrami przeciwieństw i namiętności, które, niestety! wyhodował sam na własną, niepokonaną zgubę.

I w niej zbudziła się i uświadamiać zaczęła ta czujna tkliwość, która tak czarująco tkwi w każdej kobiecie. Taką tkliwością zaczyna się (kto wie) każda prawdziwa a niezmienna miłość. Wzrok kobiety szuka wtedy tych bróżd tragicznych, zarysowanych dookoła ust mężczyzny i które wymowniej od wszelkich spowiedzi ujawniają stanięcie u krawędzi własnej, otwartej trumny. I oczy kobiety stają się wtedy prawie macierzyńskie, słodkie i przyrzekające wierność dozgonną.

— Co z tobą? — myślała bezwiednie — co z tobą cichy wędrowcze, spotkany tak nagle na równej ścieżce mego życia. Dlaczego jesteś tak blady, a oczy twe świecą fosforycznym blaskiem, jak próchno wśród gęstwiny gnijących drzew o czarnej, bezgwiezdnej nocy? Kto wypił twą krew? kto zakłócił twój sen dobry i konieczny, kto pociągnął cię na jakąś drogę zszarpaną, kamienistą i zawaloną głazami, mającą po brzegach krzaki cierniowe, na których wisiały strzępy serc tych, którzy tu już przechodzili!

Odpowiedz!

Jam słuchać gotowa!

To powiedzieć mu pragnęła i czuła, że powiedzieć powinna. Sama musiała sformułować pytania, aby on zdecydował się rozpocząć spowiedź swoją.

Lecz do tego nie przychodziło, przyjść nie mogło.

Byli ludźmi zanadto dobrze wychowanymi, zanadto wrośnięci w konwenans światowy, aby pochwycić tę chwilę Cudu, która zawisła pomiędzy nimi łaskawie i byłaby splotła ich egzystencje silniej i doskonalej, jak wszelkie inne zaczątki i próby zbliżenia się.

Świat — warunki fałszywego »nie wypada« niszczył bezpowrotnie pracę ich obu dusz, które mogły przerwać jasnością dobroczynnego światła i ciepła — ciemność, jaka pomiędzy nimi powstawać musiała.

Byli oboje na to — zanadto... dobrze wychowani.

— — — — — — — — — — — —

Nagle podniosła się kotara, kryjąca drzwi i stanął w nich wysoki, cokolwiek zgarbiony starzec, który, mrużąc powieki, wpatrzył się prawie bystro w Krajewskiego. Ten zaraz poznał w nim samego pana domu, ojca Franceski, którego tak troskliwie prowadziła kiedyś wśród skrętu oślizgłych ulic — owego pamiętnego wieczoru. Podniósł się z fotela, to samo uczyniła Franceska. Postąpiła kilka kroków ku ojcu, jakby lekko zmieszana. Opanowała się jednak zaraz i wyrzekła.

— Ojcze!... pan Osłoja-Krajewski.

Obaj mężczyźni skłonili się w jednakowy, kurtuazyjny sposób.

Krajewskiego uderzyło to, iż Franceska do

przedstawienia go ojcu użyła jego przydomka, o którym poprostu prawie zapomniał. Gminne otoczenie, w jakiem poprzednio przebywał, nie uznawało przydomków. Franceska jednak podkreśliła to miano, jakby walor jeden więcej w oczach ojca. Kto wie! może znała słabość tego starca i pewną próżność, która kazała temu cesarsko-królewskiemu urzędnikowi giąć się przed rodową »rangą« dlań niedościgłą a na starość przecież mu imponującą. Zadziwił się przecież, skąd Franceska zna ten jego przydomek. Gwozdecka, jako sama obdarzona jakąś Okszą czy czemś podobnem, mówiła prosto jego nazwisko. Nie miał czasu zastanawiać się nad tem, bo oto pan nadradca wyprostowany i pełen godności zapraszał go do zajęcia dawnego miejsca. Znów bystrem spojrzeniem obrzucił Krajewskiego, tem zimnem a piekącem spojrzeniem, właściwem biurokratom, którzy powoli, z niczego rośli w rangę, tytuł i pewne znaczenie w dusznej, fatalnej atmosferze swych biur i urzędów. Miał w sobie wyblakłe, dziwne barwy i wygląd rośliny, żyjącej w jakimś ciemnym kącie apartamentu, którego okna wychodzą na północ. Liście te nabierają białawej, szkaradnej barwy i stają się spiczaste, jakby kłujące. I taki biurokrata, więdniejący bez buntu wśród swych znaczeń i chęci awansów, musi stać się podobnym w spojrzeniu, wyglądzie i całym swym układzie fizycznym i moralnym do takiej bez buntu ginącej, a przecież istniejącej rośliny. Zatraca barwę, woń, pęd, który przyniósł ze sobą w chwili

stworzenia. Jak maszyna naoliwiona a przecież rdzewiejąca w podstawach, całą swą niewyrzuconą ze siebie i steraną za pieniądze, moc i siłę, koncentrował w owej bystrości wzroku, którą przebijał poznanego świeżo człowieka. Każden bowiem dla niego przedstawiać będzie tylko »stronę« — nachodzącą jego gabinet z jakąś pretensją. I mści się na tej »stronie« — mści się za swą młodość zmarnowaną, za swą duszę stygnącą, za serce przeżarte przez pył aktów i »kawałków«, które zwolna zamarło i bić przestało. Chce sam w siebie wmówić, że poświęcił cały uśmiech życia, całą jego urodę dla czegoś wielkiego i o bezsprzecznej wartości i stara się nadać sobie znaczenie w społeczeństwie ogromne i dające mu prawo do stanowienia o życiu i śmierci. Wydyma wargi, oczy wbija w »stronę« — a głos jego staje się suchy szelestem wierzby przydrożnej. Lecz w głębi duszy on wie, taki smutny radca, taki biurowy tragiczny pajac, że nie jest niczem więcej, tylko skrzypiącem kółkiem wlokącej się maszyny. I przeto jest niedościgłym, nieprzystępnym i coraz więcej skostniałym. Szkielet jego prześwieca swem nieubłaganem rusztowaniem przez resztki ciała, które mają barwę i suchość skurczonych pergaminów.

Fatalna ironja człowieka!

— — — — — — — — — — — —

Krajewski, siedząc tak naprzeciw owego radcy doznał dziwnego wrażenia, które powstało z samej głębi jego istoty. Oto — podjął rękawicę i rozpoczął dyskusję polityczną umiejętnie, subtelnie rzecz

prowadząc, wiedząc zgóry, jakie będą wygłaszane poglądy przez tego starca. Przerobić pojęć tych skostniałych w duszy tamtego nie usiłował. Wiedział, iż lada chwila przytłoczy je wieko trumny. Ograniczał się więc na podawaniu żeru odpowiedniego djalogowi, który miał cechy doskonale sporządzonego artykułu z aprobatą wyższą i wtłoczonego w szpalty gazety urzędowej. O tę gazetę, leżącą na stole, opierała się właśnie ręka radcy, żółta, poorana bruzdami — tragiczna i nieruchoma. Tylko zadrżał czasem wskazujący palec u tej ręki i dał tem sygnał, iż życie jeszcze tam pulsuje i nie zamarło zupełnie. Krajewski patrzył chwilę na tę rękę opadłą z imperatywnym gestem, bardzo absolutną a w danej chwili umiejącą zamiatać niskim pokłonem proch z przed nóg wyższej władzy. I wzrok jego, jakby wstrętem przejęty, zboczył i padł w lustro, które tkwiło naprzeciw niego, pomiędzy dwoma oknami.

Spojrzał i bez drgnienia wprawdzie, ale cofnął się cały w głąb siebie.

Bo oto i na nim »biuro« — położyło swe piętno. I oto — on stawał się podobny do tej wspaniałej marjonetki, siedzącej naprzeciw niego. Cera jego, jakkolwiek dziś podniecona gorączkowo, miała już te żółte tony, podobne do barwy, jaką przybierają klawisze starych fortepianów. I całość złożonego w głębi fotelu szkieletu — założenie nogi na nogę — mrużenia powiek i jakby dźwiganie na sobie ciężaru,

od którego zawisły losy ludzkości. Wszystko to było, a nawet owo drganie palca u imperatywnej ręki.

Krajewski, przelękły przed widmem swej przyszłości — mimowoli zaczął szukać wzrokiem Franceski, która od chwili wejścia ojca usunęła się w cień. Dostrzegł, iż siedzi w rogu pokoju, przeglądając w tece jakieś rysunki. Odwrócona była do niego profilem i w ten sposób ujawniała ogromne podobieństwo z ojcem. Wszystko to nagle rozśmieszyło Krajewskiego.

— Pyszneby to było! — pomyślał — gdybym się z nią ożenił. Mielibyśmy dzieci podobne do takiego Machabeusza biurowego, ale jeszcze w doskonalszej edycji... Byłyby to śliczne okazy...

I nagle powstał i zaczął się zbierać do odejścia. Duszno mu było w tej ciszy, w której słyszał tylko monotonny głos starca. Zapragnął wyjść stąd za wszelką cenę.

Nie powstrzymał go nawet wyraz oczy Franceski, który zdawał się wyrażać jakieś pragnienie.

Wziął rysunek i skłoniwszy się bardzo wytwornie — wyszedł.

IX.

Nie ominął dnia tego popołudniowego biura. Owszem — siedział w niem długo i wyszedł ostatni. Uczuł bowiem, iż wzrosła w nim jakaś niemoc fizyczna i nachodzą go dziwne dreszcze. Nie były mu nieprzyjemne, przeciwnie — »rozbierały go«. Palił ogromną moc papierosów i odpowiadał uprzejmie, a nawet dowcipnie na zaczepki Konitza. Ale grała w nim ciągle jakaś gorączkowa, niepoczciwa ironja i tak patrzał przez uchylone drzwi na biurko, przy którem rezydował »radca« — zwany popularnie »piernikiem«. Krajewski zrównał tę postać nieruchomą i kościstą z poznanym świeżo radcą Wernerem i zdumiał się nad podobieństwem tych dwóch kościstych, zaschłych biurowców, w którejś tam randze będących.

— Obaj jednakowi — a ja na dokładkę do nich trzeci...

I dodał jeszcze w tempie mazura:

— Ożenić się z panną i mieć takie dzieci — kościane dziadki... kościane dziadule...

Uśmiechał się do tej myśli i zaczął wybijać takt po aktach, właśnie tym drgającym palcem.

Konitz poskoczył ku niemu.

— Coś mi pan bardzo dziś wesoły. Widocznie moja rada poskutkowała.

— ?...

— No... musiał pan sobie już znaleźć jakąś nową. Kto ona? Szwaja — czy coś lepszego?

Krajewski nie ustawał bębnić po papierach.

— Pomylił się pan tylko co do rodzaju osoby.

— No... no...

Krajewski wbił w niego niepoczciwe oczy.

— Lepiej panie! — wyrzekł ze śmiechem — ja znalazłem sobie... przyszłą żonę.

— O! O!...

Konitz aż usta roztworzył i wyjątkowo wyjął ręce z kieszeni od spodni.

— To zanadto, to niepotrzebne! — wybełkotał wreszcie. — Ja powiedziałem, nowa miłość, albo rozpusta — ale nie małżeństwo. Pan gotów jeszcze popełnić jakieś szaleństwo.

Krajewski przeciął mu z nieopisaną ironją:

— Panie! to z troski o to, aby pewien gatunek ludzi nie wyginął. Pan zobaczy, jakie my wspaniałe będziemy mieli dzieci. Okazy, powiadam panu — okazy!

Konitz obserwował go uważnie.

— Panu coś jest! — wyrzekł, odchodząc do swego stolika. — Pan jest chory, czy co... nie wiem!

Krajewski skinął mu uprzejmie ręką.

— Nie troszcz się pan, jestem zdrów, jak nigdy.

Konitz przystanął na chwilę.

— Jabym już wolał, żeby pan lepiej sobie odszukał tę swoją ścierkę i dalej z nią żył, niż żeby się pan żenił...

— Trudno, trudno — to już postanowione. Narzeczona wspaniała, królewska, doskonała, czeka...

Jakiś spazm porwał go za gardło. W jednej chwili odczuł dla siebie pogardę i żal za to, że poniewiera poprostu wspomnieniem tej wyniosłej, pięknej kobiety, która pożegnała go tak wymownem, dobrem spojrzeniem. Pogrążył się cały w rzekomej pracy i tak trwał aż do chwili skończenia biurowej godziny. Nie podniósł głowy nawet, słysząc oddalających się kolegów. Gdy nastała cisza wstał, odział się i wyszedł, zataczając się, jak pijany. Kręciło mu się w głowie — nogi miał jak watowane, drżące w kolanach. Bolał go kark i gardło. Cierpiał i wlókł się nie wiedząc nawet w jakim kierunku. Znalazł się na jakimś placyku, na którym stało kilka ławek i szemrała cicho woda, spływająca do kamiennego basenu. Migotały już latarnie błękitnawym blaskiem. Jakieś dzieci pokrzykiwały chwilę, skacząc przez druty, grodzące trawniki, na których tajały resztki śniegu. Potem uciekły spłoszone przybyciem tego milczącego, wysokiego pana, który szedł powoli i miał w sobie teraz o zmroku coś widmowego.

Krajewski osunął się na jedną z ławek i pozostał tak długo, nie wiedząc, czy cierpi, czy czuje coś więcej prócz tego, że jest chory sam i że niema nawet komu o tem powiedzieć. Chwilami napadała go chęć położyć się na tej wilgotnej ławce i zasnąć

tu pod gołem niebem, ot... jak pierwszy lepszy włóczęga. Zdawało mu się, iż to mu przyniesie ulgę i że zbudzi się zdrów i zupełnie inny.

Albo może — nie zbudzi się wcale.

— — — — — — — — — — — —

Lecz przyszła refleksja i dźwignął się wreszcie podczas gdy naokoło skonał już ostatni zwid dnia, a powstawała z ziemi czarną gęstwą jadowita, dławiąca noc.

— — — — — — — — — — — —

Jak się dowlókł do domu — jaki wiódł go instynkt — nie wiedział sam. Dość, że znalazł się przed drzwiami swego mieszkania. Natknął się na Romanową, która niosła do siebie buteleczkę rumu i na talerzu parę śledzików zwanych moskalami. Widocznie zanosiło się w suterynach na ucztę, bo kieszenie kaftana Romanowej wyładowane były kajzerkami. Wszystko to przypomniało na chwilę Krajewskiemu jego dawne skromne domowe uczty z Porankiem i uczuł jakby wrażenie, iż dusza jego zamiera z tęsknoty. Było to omdlewające uczucie, jakby tu właśnie nadszedł już kres istnienia i nic dalej się nie stanie. Tymczasem stać się musiało i iść swym trybem. Otworzył drzwi, buchnęło nań ciepło, ale zapytał mimo to:

— Napalone?

— Takoj, tak! — odparła baba, kierując się do suteryn.

— Niech mi Romanowa zrobi herbaty! — za-

wołał na nią prawie rozpaczliwie, tak mu się serce ścisnęło na widok tych pustych ścian, w których miał całą noc pozostać.

Choćby ta kupa łachmanów, byle jakiś człowiek, jakiś stwór, jakieś drugie coś żyjące jeszcze i zdolne wybełkotać jakieś słowa.

Szybko zapalił lampę, rozebrał się i wsunął do łóżka. Nie mógł już teraz rozróżnić, czy znów napadnie go to niewysłowione wrażenie dotyku rąk Poranka, bo teraz szarpały nim literalnie dreszcze chorobliwe i wstrząsały nim od stóp do głowy. Nie próbował nawet sięgnąć po jakąś książkę. Chciał rozwiązać tasiemeczkę, która stanowiła część opakowania rysunku Franceski, ale nie mógł rozplątać węzła.

— O! wzięło mnie! — pomyślał, opadając na poduszki.

Zaskrobało się coś koło drzwi i Romanowa wniosła herbatę. Nalana była staranniej — w jakiejś filiżance o złoconych kwiatkach, stanowiących klejnot familijny tej podziemnej nory stróżowskiej.

— Ja dolałam wielmożnemu panu łyżeczkę rumu. Wielmożny pan tak lubi...

— To niepotrzebne.

— Ale... zawsze lepsze.

I znów wspomnienie Poranka i tej herbaty wypijanej razem z »kapeczką rumu«, jak mówiła... ona!

Romanowa patrzyła chwilę na Krajewskiego i zaczęła kręcić głową.

— Czy aby wielmożny pan nie chory? — zaczęła.

Krzyknął prawie:

— Nic mi nie jest...

— Bo teraz z wiosną to *florencja* się strasznie ludzi czepia.

— ?...

— No — florencja — taka choroba co czepi ni stąd ni zowąd i potem łomot w kościach, gardło... gorączka. Paskudna. Ja to miałam i raz i drugi. Na to tylko herbata, łóżko, rum i haspiryna. A jakże...

Zabierała się do odejścia. Ale szło jej nie sporo — widocznie chciała być użyteczną.

— Może jeszcze herbaty? — spytała.

— Nie trzeba!

— Bo toby przeciąć tak odrazu djabła — zaczęła znowu — z takiej florencji to różne biedy — to nerki, to płuca. — Nieraz się umiera...

Z tem wyszła, zamykając za sobą drzwi z łoskotem. Krajewski wypił duszkiem herbatę — opadł na poduszki, uśmiechał się jakby witał coś przyjemnego.

— Chciała powiedzieć... — zaczął myśleć — influenza... Może, kto wie. Nie dbam o siebie. Wstawałem teraz zawsze w chłodzie, przeziębiłem się...

I ogarnął go straszny żal — taki z samych głębin.

— Bo kto ma nademną czuwać! kto? Niema Poranka! niema Poranka! Uciekła, ja zostałem sam.

Z łatwością rozrzewnienia właściwą chorym ludziom czepił się tej żałosnej myśli.

— Zostałem sam! sam!

Zdawało mu się, że ktoś zerwał dach nad jego głową. Patrzył w górę jakby w oczekiwaniu jakichś zjawisk. Równocześnie czuł, jakby smak śmierci na ustach.

— To dobrze, że jestem chory! to dobrze... niech tak zdechnę sam jak pies!

Zawirowało dookoła niego. Serce jego już nie cierpiało, przepojone tylko chęcią zgonu. Nagle, z kątów pokoju w leniwem świetle lampy zaczęły się wysnuwać korowody drgających lekko postaci. Jakieś ważne kościotrupy w zbyt luźnych surdutach o trzęsących się rękach, jakieś potworne dzieci, biegnące w ślady tych kościstych dziadów — i naśladujące ich chód, gest — jakieś kobiety-dziewice zasłaniające się welonami, a trzymające w rękach czarną książeczkę, piętnującą prostytutki...

— Tak! tak!... — szeptał przez zaciśnięte zęby Krajewski — wszyscy przyszli mi zamknąć oczy... zawyć nademną Requiem.

I tracąc coraz bardziej świadomość, dodał szeptem prawie:

— A potem... zdaje się śpiewają Salve regina... a wtedy wali się na trumnę dwa tysiące kilo ziemi...

— — — — — — — — — — — —

Gdy przyszedł do przytomności nie wiedział żali to był dzień, żali noc. Próbował poruszyć rę-

kami, dźwignąć głową naprożno. Możność ruchu na razie skoncentrował w powiekach i powolnem poruszeniu źrenic. Na stole paliła się lampa, lecz przyćmiona arkuszem błękitnej bibułki, przyczepionym za umbrę zgiętą szpilką podwójną. — Powoli, ciężko rozróżniał znane mu sprzęty i witał się z niemi sennie. Wreszcie wysiłkiem woli podniósł rękę, chcąc sięgnąć po zegarek, który zwykle kładł na stoliczku przy łóżku. Lecz ręka odmówiła mu posłuszeństwa i drgając, strąciła ów zegarek na ziemię. Kruchy ten łoskot przerwał ciszę, panującą w pokoju. Krajewski przeraził się, jakby w niego uderzył grom. Równocześnie — z kąta pokoju podniosła się jakaś postać, przypominająca kobietę i chyłkiem zbliżyła się do łóżka. W błękitach światła poznał Krajewski Romanową.

— Ach!... to wy?

Głos ten wydał mu się obcy — płynący z oddali. Dodał z wysiłkiem.

— Która godzina.

— Będzie piąta... — odpowiedziała stróżka i zaczęła podnosić zegarek, poprawiać kołdrę.

Po chwili zapytał znowu:

— Piąta... rano?

— Nie, po obiedzie.

— Jakto?

— No — po obiedzie. Zaświeciłam lampę bo tam deszcz leje i prędko się ściemni.

Myślał, kombinował, liczył.

— Tak... ale jak długo ja właściwie spałem?

Romanowa zrobiła się ważną.

— Ho! ho! coś trzy doby.

— ?...

— A no — była sobota jak się wielmożny pan do łóżka położył, a teraz wtorek.

— To być nie może.

— Ale!... ma pan florencję. Tak powiedział doktór.

— Jaki doktór?

— Był... ale powiedział, żeby pana nie budzić. Poiłam pana herbatą z rumem i tyle.

— Ja piłem herbatę?

— A jakże. I znów Pan zasypiał. Tak pan z rąk leciał, z przeproszeniem, jak pijany. Myśmy się bardzo poprzelękały...

Urwała i dodała pośpiesznie:

— Bogu chwała, że pan już się zbudził. Teraz już wszystko się naprawi. Wielmożny pan zesłabnął, ale się odfutruje w mig. Możeby wielmożny pan co zjadł?

— Nie, nie chcę.

— Et! ja się ta pytać nie będę. Jest gotowy kleik, cienki, bo to na początek... Przyniosę, tylko w sieni zaświecę. Zaraz wrócę.

Zostawiła go wreszcie samego. Ogarnął go jakiś lęk. Zaczął pracować całą siłą, aby odnaleźć w swej pamięci, co się z nim działo przez te trzy doby. Napróżno jednak. Pustka była — luka w jego życiu. Czuł, iż nie zapełni jej nigdy.

— To straszne! — pomyślał — nagle zostałem zdany na łaskę takiej Romanowej.

I zawył w nim znów ten beznadziejny, pokorny, rozpłakany głos.

— Sam jestem! sam!

Zapadł znów w sen, lecz był to inny już sen — jakiś żyjący — nie ten poprzedni, prawie śmiertelny, przedzgonny. Ocknął się z niego jakby silniejszy i podniósł się na poduszkach. Lampa była zgaszona — przez spuszczoną storę przezierał złotawy blask południowej pory. W pokoju było dość czysto — parawan zasuwał przed nim drzwi wejściowe. Na stoliku obok niego stała szklanka wody ze sokiem. Wziął w rękę zegarek — szedł — w dodatku był nakręcony. Zadziwił się. Zegarek to był, staruszek — pamiątka po ojcu. Nakręcał się kluczykiem, który Krajewski miał schowany w szufladzie stolika. Frania Poranek nauczyła się nakręcać to »Szepcze«, jak nazywała ów zegarek i czyniła to z ogromnem skupieniem i weneracją szczególniej dla kluczyka.

— Czyżby Romanowa nakręciła mi zegarek? — pomyślał. — Widocznie ta baba ma w sobie więcej zalet, niż przypuszczałem.

Wchodziła właśnie, a raczej wsuwała się cichutko z naręczem drzewa. Widząc, że Krajewski patrzy na nią zupełnie przytomnie, roześmiała się wesoło.

— Całuję rączki wielmożnemu Panu, zapalę w piecyku, a potem dam śniadanie.

Przedtem jednakże uchyliła nieco drzwi, jakby

komuś poza temi drzwiami dawała jakąś dyspozycję. Gdy wróciła, podniosła trochę story, zapaliła w piecu, wyszła i wróciła, niosąc na jakiejś ubogiej tacce filiżankę kakao, którego woń rozeszła się dookoła.

Na tacce, na kawałku papieru, leżały świeże rogaliki posmarowane troskliwie masłem.

— Niech wielmożny pan je — na moje sumienie. Nie zaszkodzi. Trzeba trochę pojeść. A potem dam wody ciepłej, mydło, ręcznik do łóżka — i świeżą koszulę. Wielmożny pan się tak wypichci jak na ślub...

Pokazała spruchniałe zęby i wyszła już trochę rezolutniej, niemniej jednak ciszej i delikatniej, niż dawniej.

A Krajewski pił kakao i z głębi jego skłębionych myśli wyłoniło się nagle zdanie Stendhala.

— Prawdziwem polem popisów kobiety — jest — pokój chorego.

X.

Rekonwalescencja, którą Krajewski przeszedł, nie była mu tak ciężka, jak się spodziewał. Zwłaszcza, że nie chorując nigdy, *nie umiał chorować*. Lękał się ogłupiającego leżenia w łóżku dnie całe i ze zdziwieniem zauważył, iż do wszystkiego nawet i do tego, można się przyzwyczaić. Romanowa w nadzwyczajny sposób spełniała funkcję pielęgniarki. Odziała się nawet czyściej, umyła ręce, wyszorowała pazury i wszystko, co podała, było czyściejsze i staranniejsze. Odżywiała chorego dobrze. Jaja, mleko, rosoły, nawet zjawiła się którejś niedzieli winna polewka. Rachunki podawała umiarkowane, co najwięcej dziwiło Krajewskiego. Przyjmował jednak te usługi i przeistoczenie się baby chętnie, rad, że nie potrzebuje wyładowywać swych słabych sił na irytację i troszczenie się o drobiazgi. Przypomniał sobie biuro i postanowił nie wracać doń tak prędko. Napisał do Konitza, prosząc, aby on zawiadomił szefa o jego chorobie. Na drugi dzień dostał list, w którym Konitz zawiadamia go, iż ta rzecz »załatwiona« — i zapowiadał swą wizytę. Krajewski nie

rad przyjął tę wiadomość. Choroba podziałała na niego dziwnie, oczyszczając go jakoby od zewnętrznych, drobiazgowych objawów życiowych. Lękał się znaleźć wobec tej karykatury człowieka i być zmuszonym ściągać się do jego poziomu. Z ulgą widział, iż zapowiedź Konitza pozostała w krainie obietnic. Żył więc spokojnie obecną chwilą, czasem tylko szarpany niepokojem i tęsknotą. Brakowało mu możności poskarżenia się, ujęcia czyjejś przychylnej, oddanej sobie dłoni. Brakowało mu uśmiechu radości na widok jego powrotu do zdrowia i sił. Nikt się nie cieszył tem, że on budził się codzień silniejszy i twarz jego z pergaminowej stawała się bardziej do żywej podobną.

Tego mu brakowało teraz ponad wszystko. Dnia jednego przyszła mu myśl napisać do Gwozdeckiej i poprosić ją, aby go odwiedziła. Ale zaniechał tej myśli. Była w nim odraza do wprowadzenia do tego pokoju jakiejś kobiety — choćby tylko w przyjaznych zamiarach. Zdawało mu się, iż u progu stoi na straży widmo Poranka i słodko z uśmiechem prosi:

— Nie trzeba Tatuńciu! nie trzeba!

Powoli jednak zaczęły razem ze zdrowiem powracać jego zwykłe towarzyszki-myśli, wspomnienia i poiły go goryczą i żalem. Tem bardziej, że tam, za oknem powstała nagle, niespodziewanie wiosna, przepyszna, lekka, upojna — brylantami błyszcząca. I oto raz na tacce przy filiżance kakao wniosła Ro-

manowa maluchny bukiecik liljowych sasanek, pokornych a zwycięskich w swem triumfalnem wkroczeniu jako patrol wiosennego kwiecia.

Krajewski zadziwił się i prawie przeraził, ujmując w rękę sasanki.

— Co to? kwiatki?

Romanowa roześmiała się.

— Takoj tak... kupiłam rano od wsiówki, taże to już wiosna.

Krajewski patrzył długo w te kilka wilgotnych, leciuchno woniejących kwiatów. Był w tej woni i zapach mchu i jakby kory drzewnej i całego lasu, budzącego się, powiew o dreszczach wiosennych i przedsmaku letnich uniesień. Przytulił do ust tę wiązankę i całować zaczął. A wtedy, nagle obudziło się w nim szalone wspomnienia świeżości ust Frani Poranka — warg rozchylonych, wonnych, które piły z jego warg życie i nawzajem życie mu dawały. Wystąpiło to z całą siłą, zwycięsko, nie zdławione, nie przygłuszone niczem.

— Poranku! — wyszeptał ustami wtulonemi w kwiaty — Poranku!

Dnia tego zwlókł się z łóżka. Czuł, iż hydra smutku zadławi go i postanowił powrócić do »świata« — odrzucając precz od siebie rozleniwienie, które mu było na razie miłe. — Romanowa przerażona, aż krzyknęła, gdy zobaczyła go na środku pokoju odzianego w jakieś długie, stare palto — zgarbionego i drżącego od niemocy.

— Co wielmożny pan robi? — zawołała. — Proszę zaraz włazić w łóżko!

Stanowczo oparł się jej żądaniu.

— Dość już leżałem... — odparł z jakąś niepoczciwą suchością w głosie. — Niech się Romanowa nie boi, nic mi nie będzie.

Wypadła do sieni, za chwilę wróciła.

— Niech wielmożny pan się kładzie — zaczęła znów — to zawcześnie... trzeba odleżeć po florencji ze dwa tygodnie. Wielmożny pan sobie biedę napyta.

Ale on nie słuchał, drżącemi rękami zaczął układać papiery na stole i napotkał na rysunek panny Werner.

Rozwinął go i chwilę patrzył, przeglądając się w nim, jakby w zwierciedle.

— Stanowczo, pochwyciła wyraz mych oczów! — pomyślał zachwycony.

— Przedziwny sentyment jest tu głównym walorem, nic innego.

Obejrzał się dokoła, pragnąc znaleźć miejsce odpowiednie do zawieszenia rysunku. Znalazł je naprzeciw łóżka. Starał się wmówić w siebie, że to z powodu korzystnego światła. Lecz w głębi duszy grało w nim pragnienie mieć ciągle rysunek panny Werner przed oczami.

Zdjął jakiś drobny szkic zimowy i na gwoździku zaczepił rysunek. Odsunął się cokolwiek i przyglądał mu się uważnie pomimo znużenia. Wreszcie jakimś odruchem bezpośrednim porwał le-

żącą na stole wiązankę sasanek i zaczepił ją za ramę. W ten sposób w hołdzie kwiecistym dla Franceski składał to, co mu tak przypominało usta Poranka.

Nie uraziło go nawet to połączenie — przeciwnie, rad był z niego i jakiś weselszy patrzył teraz na dzieło tej »nowej« — która mu już zaczynała powoli wrastać w duszę.

Był w tej chwili *mężczyzną* w każdym calu.

— — — — — — — — — — — —

Nazajutrz otrzymał kartkę od Gwozdeckiej.

»Przemiły przyjacielu! Co z Tobą? Bzy Twoje dawno zwiędły, nie doczekawszy się Ciebie. Przyjdź! czekamy! *Wala.*

Ucieszył się tym właśnie odgłosem ze świata. Potem — zastanowiło go dlaczego Gwozdecka użyła słowa »czekamy«.

— Kto oprócz niej? Czyżby tamta?

Spojrzał w lustro i skrzywił się, widząc, że jest mizernym i nędznym. Ale szybko ogolił się, odział starannie i powróciła mu jego »pańskość« i dziwna, niepospolita piękność. Obejrzał się niechętnie po pokoju. Już zaczynała go nudzić pustka, gniotących go ścian. Mimowoli zrobił pewną inspekcję i odnalazł wielkie braki w uporządkowaniu tych kątów i sprzętów.

— Romanowa się zaniedbuje — pomyślał — tem gorzej dla niej, bo się wyprowadzę...

A potem dodał z jakąś fantazją:

— Ale tem lepiej dla mnie!

Otworzył okno i rad wychylił się na ulicę. Dziwny, ciepły wiatr rzucał jakieś snopy wiosennych uroków pomiędzy kamienice.

— Wyjdę! — postanowił. — Pójdę stąd precz między ludzi.

Czuł, iż był zadługo z hydrą wspomnień — sam na sam i bezsilny, bo zmożony chorobą.

Wyszedł na ulicę i szedł ostrożnie, trzymając się linij murów kamienic. Przejeżdżał tramwaj. Pełno w nim było, bo piękne i nadspodziewanie ciepłe popołudnie wywabiło tłumy. Wsiadł do tramwaju znużony i drżący.

— Nie dam się! — postanawiał, widząc, iż jest sam wśród tłumu ludzi, z których każdy zajęty był sobą lub swymi bliskimi.

Dojechał tak do ulicy, na której mieszkała Gwozdecka.

— Pójdę do niej... podziękuję za pamięć.

Była w domu i chętnie otwarła drzwi. Poznała go po charakterystycznym sposobie dzwonienia. Uradowana, podała mu obie ręce.

— Nareszcie!

Powtórzył jak echo:

— Nareszcie!

Wzrokiem szukał na wieszadłach przedpokoju znanego mu paltocika pluszowego, kapelusza z czarnej krepy... Lecz było pusto. W saloniku także — nie było nikogo. Doznał uczucia zawodu. Ogarnął go smutek i jakaś tęsknota. Naprożno Gwozdecka zasłoniła story i zapalała swą miłą, tak mu dobrze

znaną, zielonawą lampę. — Stał, zawiedziony i gryzł wargi, które jeszcze gorączka piekła.

— Co ci było? Dlaczego cię nie widziałam tak długo — troszczyła się Gwozdecka.

— Chorowałem! — przeciął jej niechętnie.

— Tak przypuszczałyśmy. Kobiety nie mylą się w swoich przeczuciach.

Z wysiłkiem zapytał:

— Kto oprócz ciebie?

— No... Wernerówna! — odparła, jakby zdziwiona, że on odrazu się tego nie domyślił.

— A!...

Rzucił wzrokiem na stół i spostrzegł, że w wazonie bielą się świeże bzy. Skromniejsze, można powiedzieć, biedniejsze, jak te, które on tu przysłał, ale identyczne barwą i subtelną pięknością.

— Ach!... pisałaś, że moje bzy zwiędły, czekając na mnie! — podjął z uśmiechem.

— Bo też to nie twoje.

— Kto przyniósł?

— No... ona!

Nie pytał już kto. Wiedział, że to Franceska. Ogarnęła go radość. Zły humor ustąpił.

— Tak... — ciągnęła dalej Gwozdecka. — Ona tu codzień przychodzi i dziwna rzecz, jak bardzo się troszczy o to, aby nigdy w tym wazonie bzów nie brakło.

Położyła się na swoją berżerkę i znów przybrała pozę pani Recamier.

— Jeśli mam być szczerą, — mówiła dalej — to ona wypełnia tylko pewne zadośćuczynienie. Oto...

Urwała i zaczęła się śmiać perlistym, cudnym śmiechem.

— Oto będę niedyskretna! To Franceska zabrała mi twoje bzy, kiedy były już nawpół zwiędnięte... Nie sądź, że je wyrzuciła. Może schowała, może... ja nie wiem. Dość, że wzięła ze sobą. I codzień mi przynosi świeże dwie gałązki.

Usiadł szybko i zapytał:

— Panna Werner codzień tu przychodzi?

— Codzień. Zwłaszcza... od pewnego czasu. Powinna nadejść.

Serce w nim zabiło silniej. Mimowoli spojrzał w ciemnię przedpokoju. Gwozdecka udawała, iż nie widzi tego spojrzenia.

— Prawda, co to za przedziwna istota, ta moja Franceska? — zapytała. — Nie wiem, czy jest kobieta na świecie doskonalsza od tej dziewczyny.

Krajewski odparł żywo:

— Tak! ale zdaje mi się, iż i ta doskonałość posiada skazę.

— Jaką?

— Oto jest... próżna.

— Ona?

— Tak. Dlaczego bowiem przedstawiła mnie swemu ojcu, dodając do mego nazwiska mój przydomek! Tak to jakoś nie licowało z tą całą biurokratyczno mieszczańską atmosferą. Było poprostu śmieszne!...

Gwozdecka aż uniosła się na swej berżerce.

— Jesteś niesprawiedliwy! — zawołała. — Jeśli Wernerówna to uczyniła, to jedynie ze względu na ojca, który jest próżny i któremu taki przydomek odpowiednio zaimponować musiał. Ja raczej widziałabym w tym postępku Franceski zupełnie co innego...

Skrzywiła się troszkę i dodała z pogardą:

— Dziwna rzecz, jak wy mężczyźni, jesteście czasami mało subtelni. I to właśnie ty, ty — który, zdawało mi się, że znasz dość dokładnie naturę kobiety.

Zainteresowało go to wszystko.

— Co pani przez to rozumie! — zaczął nalegać gorąco.

— To poprostu, że panna Werner chciała przedstawić pana ojcu jak najkorzystniej. Zna słabostki starego i dlatego tylko tak postąpiła. Widocznie więc szło jej o to. Mogę ci zaręczyć bowiem, że niema bardziej czarującej swą prostotą duszy, jak jej właśnie. — Powinieneś więc z tego faktu wyciągnąć tylko najlepsze dla siebie wnioski.

Rad był bardzo w głębi, słysząc te słowa, ale nie chciał się przyznać do tego.

— Żartujesz! — zaprzeczył — cóżby pannie Werner na mnie zależało!

— Nie wiem, ale to widzę, że jej zależy. Mówiłyśmy dużo i prawie ciągle o tobie.

Przeraził się.

— Czy jej nie mówiłaś co o... o...

Zawahał się. Nie chciał wymówić nawet słowo »Poranek«.

Uczyniła to Gwozdecka.

— O Poranku? Skąd to przypuszczenie! Jak można z panną dobrze wychowaną mówić o takich rzeczach.

— I po chwili z jakąś melacholją dodała:

— *O tem się przecież nie mówi!*

Porwała go nagle jakaś niewytłumaczona złość.

— Dlaczego? dlaczego?

Gwozdecka patrzyła nań w milczeniu jakby zasmucona.

— Może to właśnie jest najbardziej interesującą stroną mego życia! — upierał się zirytowany — bardziej interesującą, niż wszystkie przydomki.

— Mylisz się — odparła Gwozdecka — są strony w twem życiu bardziej interesujące. O nich właśnie mówiłyśmy z Wernerówną.

Zdawało mu się, iż ktoś tu obraził pamięć kogoś zmarłego i drogiego. W jednej chwili całe otoczenie zaczęło na niego działać w odpychający sposób.

— Zresztą... dobrze się stało, iż nie mówiłaś z panną nadradczanką o Poranku. Takie... kołtuny mają bardzo ciasne poglądy na świat i życie wogóle. Nie zrozumiałaby mnie!

Nic nie zdoła opisać ironji, z jaką Krajewski wymienił to słowo »nadradczanka«. Był w tem odcień jakby nienawiści.

Gwozdecka zachmurzyła się widocznie.

— To wszystko, w czem tkwiłeś poprzednio — zaczęła znów prawie wzburzonym tonem — było brzydkie i złe, bo oto fermentuje jeszcze w tobie i czyni cię niesprawiedliwym. Mówisz rzeczy szpetne, zamiast właśnie uchylić głowę przed czystą doskonałością, o której istnieniu widocznie zapomniałeś.

Porwał się z miejsca.

— »Kołtuńska doskonałość«! — zauważył. — Nigdy przed tem czemś nie będę w ekstazie.

Skłonił się. Gwozdecka wyciągnęła rękę.

— Odchodzisz?

— Tak! boję się, ażebym znów nie powiedział coś szpetnego.

Uśmiechała się pojednawczo.

— Sądzę, że powoli zatrze się to wszystko w tobie. Tylko nie stawiaj oporu. Pozwól, żeby życie ukazało ci się także z innej strony.

— Co? co? — pojął gorączkowo. — Może się mam ożenić z taką Wernerówną?

Zaczęła mu patrzeć w oczy uważnie i badawczo.

— Chociażby tak! — odparła.

Chwilę stał jakby przybity i olśniony tem wszystkiem, wreszcie wybuchnął śmiechem.

— Coś cudownego! — zawołał — ja i małżeństwo — za co ty mnie wogóle masz, Walo?

— Za kogoś, który tonie i którego chce się ratować.

— Proponując mu truciznę, która go powoli zabije.

— Nie sądzę. Przeciwnie — która go wyleczy i żyć normalnie pozwoli.

Szarpnął się, jakby po ukąszeniu żmii.

— Nie chcę!... nie chcę!... bądź zdrowa.

— Bądź zdrów. A!... weź ze sobą te bzy.

— Ja?

— Tak! weź!

— Chyba poto, aby je wyrzucić?

Złośliwy był i czuł to sam. Nawet ta złośliwość przekraczała miarę. Czuła to Gwozdecka.

— Stajesz się brutalny! — wyrzekła ze smutkiem. — Idź już...

Chciał ją przebłagać. Zbliżył się do stołu i wziął z wazonu gałązki bzu. Świeża, czarująca woń owionęła go nagle i złagodziła jego gniew.

— Do widzenia! — wyrzekł, całując rękę Gwozdeckiej — przyjdę tu znów, tylko mi nie mów o małżeństwie.

— Dobrze! dobrze! — roześmiała się. — Ja mówić już nie będę, ale ty zato...

Zawiesiła głos i dorzuciła wreszcie prawie wesoło:

— Ty zato będziesz o niem myślał!

XI.

Wyszedłszy do sieni, spotkał się oko w oko z wchodzącą z ulicy Wernerówną. W swych czarnych, majestatycznych welonach powiała ku niemu doskonałą pięknością nieruchomej a przecież pełnej wyrazu twarzy. Aż doznał jakby porażenia w tylnej części czaszki na widok tej kobiety, której był pełen widocznie, choć sam sobie nie zdawał z tego sprawy. Za słaby był jeszcze, aby stawiać jakiś opór w jej bliskiej obecności. Pochwycił podawaną sobie rękę i zabrał z ust powolny, dostojny uśmiech, który wykwitł nagle na jego widok.

— Pan od Wali?

— Tak! czekaliśmy na panią.

— Przyjść nie mogłam wcześniej. Będę zaledwie minutę. Chcę zawiadomić Walę, iż muszę dziś wieczorem być w domu.

Ucieszył się i to go uzuchwaliło.

— Pani zaraz wyjdzie?

— Tak... za sekundę.

Porozumieli się oczami. On zapytywał, ona przyzwoliła, aby na nią czekał.

Gdy znikła poza drzwiami mieszkania Gwozdeckiej, wyszedł na ulicę jakiś rad i dumny. Miał wrażenie, iż to królowa schodzi dla niego z wysokości tronu. Czekał więc na nią cierpliwie. Równocześnie jakiś żołnierz czekał także pod bramą. Z przepaści sieni wyleciała sługa w zielonej bluzce i boso. Zczepiła się z żołnierzem rękami i polecieli oboje w dal uliczną. To popsuło Krajewskiemu na chwilę jego nastrój. Ale prędko otrząsnął się z tego wrażenia.

— Cóż? — pomyślał pobłażliwie — także kobieta i mężczyzna...

Zresztą nie miał czasu na rozmyślania. Przed nim stała Wernerówna. Wdzięczny był jej za to, że nie zagrała komedji zdziwienia, iż czekał na nią. Poszli razem tą samą drogą, którą lecieli żołnierz i dziewczyna w zielonej bluzce. Sylwetki ich migały i wytyczały im drogę. Mimowoli Krajewski zbliżył się do panny Werner, tak jak to czynił tamten chłop zwycięski i jakby zakochany. Ale ująć ręki nadradczanki nie śmiał i ogarnęła go w tej chwili złość na formy i konwenanse, gniotące go obrożą.

— Cóż? kobietę mam — obok siebie — ciągnie mnie do niej... i nic nie wolno... nawet najlżejszego dotulenia.

Klął w duszy, a tymczasem z wytwornym uśmiechem pokazywał jej zabrane od Gwozdeckiej bzy.

— Widzi pani te bzy?

Uśmiechnęła się.

— Dostał je pan od Wali?

— Zabrałem sam.

— Lubi pan te kwiaty?

— Te więcej, niż inne.

Pochylił się ku niej — ściszył głos i dodał namiętnie:

— Pochodzą od pani...

Równocześnie ogarnęła go przez sekundę jakaś nuda. Musiał grać, krępować się, wymierzać słowa i ton głosu. Dawno tego nie czynił. — Ten żołnierz i ta dziewka, niknący w oddali, nie grali, nie dobierali słów, nie odmawiali sobie zbliżenia, uścisku, szerokiego śmiechu. Byli może szpetni, ale piękni w tej szczerości i prostocie. Przytem miał jeszcze za mało sił fizycznych, aby panować nad sobą. I nagle zatoczył się, jak pijany, tak osłabł, wlokąc się po tym oślizgłym bruku ulicznym. Oparł się o mur kamienicy, napróżno starając się być silnym i zdrowym w oczach swej towarzyszki.

— Panu słabo? — zapytała — pan za wcześnie wyszedł...

— Nic, nic — to przejdzie.

Zawahała się jakby chwilę. Nagle zdeterminowana zbliżyła się do niego i ujęła go pod rękę.

— Pójdziemy razem — pomogę panu!

Odczuł, iż czyni jakby ofiarę i wdzięczny jej stał się w jednej chwili nieskończenie. — Silnie, krzepko prowadziła go — widocznie nauczona prowadzeniem po ulicach miasta swych rodziców. Dorożki przejeżdżały, ale żadne z nich nie zawołało na woźnicę, choć było to przecież rzeczą naturalną.

Czuli, iż musieliby się wtedy rozłączyć, bo przyzwoitość nie dozwoliłaby jej jechać samej dorożką z obcym mężczyzną. A było im dziwnie dobrze i dobrano w tem połączeniu. Szczególniej — jemu. Nie zazdrościł już owemu żołnierzowi zbliżenia z dziewką brutalnego i kwoli sciszenia niższych instynktów czynionego. Wystarczało mu w zupełności uczucie jakieś skomplikowane, a doskonalsze, jakie ogarnęło go w tem zetknięciu się z panną Werner. Czuł jej rękę pod swojem ramieniem mocną a słodką — wspierającą go z całem oddaniem i zarazem troskliwością. Zapomniał już takiego kulturalnego zbliżenia się do kobiety. Ostatnio Poranek czepiał się go raczej bezsilnie albo szarpiąco i wyczerpywał go tym faktem. Przy Wernerównie uczuł się nagle jakimś uspokojonym i chciałby tak iść z nią w nieskończoność. Rozmawiał cicho i wolno, poruszając bliskie niej tematy. Zapytał o ojca. Odpowiedziała mu, iż leży w domu, przeziębiwszy się na cmentarzu.

Zapytał zaraz:

— Pani często chodzi na cmentarz?

— Prawie codzień. Ojciec rzadziej. Zajęty jest.

Chciał jeszcze spytać, o której porze dnia odwiedza mniej więcej grób matki — ale czegoś nie śmiał. Właśnie zwróciła ku niemu swą twarz anielską i patrzyła nań w świetle latarni.

— Czy pan bardzo zmęczony? — spytała troskliwie.

— Przeciwnie! — odparł — teraz czuję się bardzo dobrze.

Ze smutkiem widział, iż zmniejsza się przestrzeń, dzieląca go od domu. Teraz ona zajmowała się nim, mówiła o jego chorobie, prosiła go jakby, aby się strzegł, pielęgnował.

— Influenza ma nieraz złe skutki! — mówiła troskliwie.

Machnął ręką.

— Ach! mniejsza z tem.

— Nie trzeba tak mówić. Choroba, śmierć, to rzecz o wiele mniej piękna, jak sobie wyobrażamy.

— Prawda! ma pani rację. Zwłaszcza, gdy się jest samotnym...

— Tak! zwłaszcza wtedy! — potwierdziła z przekonaniem.

Doszli do domu zamieszkiwanego przez Krajewskiego. Przed bramą sterczała Romanowa. Widząc ich nadchodzących stróżka cofnęła się do sieni.

— Tu mieszkam! — wyrzekł Krajewski jakby z żalem.

— Tu?

— Tak, w tych oknach na parterze.

Spojrzeli równocześnie w okna, z których biło światło. I w tej samej chwili wspomnienie Poranka przeszyło mózg i serce Krajewskiego. Nigdy może tak intenzywnie nie przedstawił sobie chwili, kiedy ta nieszczęśliwa dziewczyna wyskakiwała przez to otwarte okno, aby uciec w dal ciemną, uliczną — wśród zimna, szarugi i tropiących ją agentów policyjnych.

— Żegnam panią! — podjął, całując rękę panny Werner, — żegnam i dziękuję.

Lecz ona patrzyła jeszcze ciągle na okna jego mieszkania. Wahała się, jakby o coś zapytać chciała. Wreszcie skłoniła głowę.

— Żegnam pana!

Odeszła powoli z powrotem do miasta. Krajewski doznał jakby uczucia ulgi. Obecność Wernerównej na terenie jakby przepojonym istnieniem Poranka — stała mu się przykrą i jakby niemożliwą do zniesienia. Przed chwilą — w mieście, pragnął mieć pannę Werner ciągle przy swoim boku. Tu zaś wdzięczny jej był za to, że się oddalała i rozpływała się, jakby w abstrakcji, w czemś dalekiem i fikcyjnem.

Natomiast wyłaniała się ku niemu z nadzwyczajną ścisłością szczegółów — druga postać i witała go złudzeniem słuchowem nadzwyczaj dokładnem.

— Jak się masz, Tatuńciu!

W sieni potknął się o Romanową, którą przecież wyczuł doskonale, iż sterczała w szpiegowskim nastroju poza kratami bramy.

Powitała go bardzo uprzejmie.

— Tam już posprzątane i wszystko przyłagodzone!

Rzeczywiście, gdy wszedł do pokoju — znów doznał miłego uczucia. Nic mu nie przypomniało przebytej w tych ścianach choroby. Ślady jej, które rankiem wypędziły go poprostu z domu — zatarte

były w zupełności. Pościel czyściuchna, przewleczona, nęciła aż do spoczynku.

Rad był, iż ten pokój przygarnął go, jakby do tego upragnionego odpoczynku. Na stole koło łóżka stało w karafce mleko, na talerzyku leżała szynka, bułka, trochę masła.

— A jeśli wielmożny pan chce — to przyrządzę jaja na miękko! — proponowała, następująca mu na pięty Romanowa.

Podziękował jej prawie grzecznie. Obie gałęzie bzu zatknął za rysunek Wernerównej, nie ruszając wszakże bukiecika liljowych sasanek, umieszczonych tam od rana.

— Trzeba się po florencji skrzepiać! — tłumaczyła Romanowa.

Lecz on nie słuchał jej. Potknął się bowiem o jakąś wstążkę, leżącą na ziemi. Poznał w tym strzępku wstążkę, którą Frania-Poranek wiązała sobie zwykle włosy na noc.

Zachmurzył się i nogą odsunął ten szmatek przepojony wonią włosów i masą natrętnych wspomnień.

— Dobrze już! — wyrzekł niecierpliwie — proszę mnie zostawić samego.

Romanowa wyszła, obrzucając go ciekawem spojrzeniem. Na progu jednak zatrzymała się. Widocznie dyskrecja ją dławiła.

— Fajna panna! — zahazardowała wreszcie.

— Która?

— No ta — co wielmożnego pana odprowadziła...

Urwała i wreszcie wypluła ze siebie jad kobiet, bitych i mało pieszczonych.

— No — ta — co ją wielmożny pan tak po rękach całował!

I z tem znikła.

Krajewski drzwi za nią szczelnie zamknął, wstążkę z ziemi podjął i do kufra wrzucił.

— Tej wstążki tu na pokoju nie widziałem. Musi Romanowa gospodarować w kufrze Frani podczas mej nieobecności! — myślał jakoś silnie podrażniony.

Klucze od kufra wrzucił do pudełka od kapelusza, które stało na szafie, pod dawno nieużywany cylinder.

— Nikt o tem nie wie, gdzie się klucze chowało — tylko ja i...

Urwał dokończenie tej myśli z wysiłkiem. Wogóle nie chciał przebywać nawet abstrakcyjnie ze wspomnieniem »tamtej«. I czuł przytem, że zmusza się do czegoś tak jak wtedy, gdy ząb go kiedyś bolał dotkliwie a on wlókł się do dentysty.

— Potem — będzie ci lepiej!

Ręce przed położeniem się do łóżka umył bardzo starannie, bo coś jakby się czepiało doń z zapachu włosów Poranka po dotknięciu tej wstążki. Lecz nie zdołał zatrzeć tej woni nawet zmieszanej i skomplikowanej. Gdy się położył, przytknął ręce do twarzy i wciągał tę woń, starając się rozróżnić,

jaką jest ona. I nagle zrozumiał, że to zapach delikatny, subtelny, jaką był przepojony pluszowy żakiecik nadradczanki, połączony z zastygłą wonią gęstwiny włosów Poranka.

— Obie!... obie! — wyszeptał, usypiając, kołysany do snu i prawie nieprzytomny.

Na drugi dzień poszedł do biura i tam powitał go Konitz jakimś ironicznym uśmiechem.

— No... dobrze, iż pan wyzdrowiał, tylko uważaj pan, aby ta rekonwalescencja nie była gorsza od choroby.

Krajewski zdziwił się tą aluzją.

— Nie rozumiem pana.

— No! no! dobrze już. Ale panie, ja na sprawach miłosnych zęby zjadłem, więc...

— Na sprawach miłosnych?

— *Dobre duryty koły prystupaje.*

Krajewski niezadowolony zabrał się do swych papierów. Sądził, iż Konitz robi jakieś wycieczki w stronę jego znajomości z Wernerówną. Przykro mu było, iż ta rozpustna biurowa pokraka śmie zajmować się tem, w czem chciał sobie wytworzyć jakąś czystą piękność swej egzystencji. Idąc do biura wstąpił do sklepu z kwiatami, aby kazać posłać pannie Werner sporo bzu białego, jako rewanż za zabrane przez niego wczoraj kwiaty. Zdawało mu się, że to ciche połączenie za pomocą tych cudnych, wonnych, śnieżnych kwiatów wytworzy pomiędzy nimi jakiś ściślejszy węzeł, niż wszystkie słowa i uśmie-

chy. W sklepie — z wprawą, wyczuwającą podłoże miłosne sprawy — sprzedająca panna namówiła go na nabycie dwóch olbrzymich wazonów z całemi krzewami rozkwitłego królewsko bzu.

— Będzie trwało dłużej! — tłumaczyła z chciwem na lepszy zysk spojrzeniem.

Bzy powędrowały w stronę mieszkania Wernerów z dyskretnie ukrytą herbową kartą Krajewskiego.

Teraz — siedząc w biurze odtwarzał sobie scenę, jaka miała zapewne miejsce na tej cichej ulicy. Panna cieszyła się kwiatami, ojciec kładł kartę z herbem na widocznem miejscu w salonie. Wszystko więc było w porządku.

Po południu — gdy wyszedł z biura, jasno jeszcze było na świecie i dziwnie wesoło i wiosennie. Uwierzyć się nie chciało, że to nie wiosna w całej pełni. Biło ciepłem i wonią powstającego życia. Krajewski po raz pierwszy od ucieczki Frani uczuł pragnienie zajęcia się sobą. Postanowił sprawić sobie nowe palto. Tymczasem kupił sobie nowy kapelusz, krawat i rękawiczki. Zapalił papierosa i usiłował iść z fantazją przez ulicę. Kobiety latały jak szalone, wiercąc się w zbyt krótkich sukniach. Mało która miała rasowe nogi, ale nie zważały na to, sądząc, że są zwycięskie i czarujące. Prędko znużył ich nieestetyczny wygląd Krajewskiego. Cofnął się w ulice spokojne i mniej uczęszczane.

— Brzydkie są tak odkryte! — pomyślał — nie działają... raczej przeciwnie...

Z lubością przypominał sobie czarne welony Wernerównej, jej długie szaty ślicznym, równym krojem stworzone.

— To jest piękne!

Szedł bezwiednie i nagle ocknąwszy się, znalazł się przed bramą — cmentarza.

— Skąd się tu wziąłem? — zadziwił się, lecz nawet przyjemnie. Postanowił wejść. Cisza i ten rozkoszny spokój panujący wśród grobów nęciły go.

— Nie zobaczę wykrzywionych nóg kobiecych!... — pocieszał się.

Nie miał tu nikogo »swojego« wśród zmarłych.

Nagle powstała w nim myśl znaleźć grób matki Wernerównej. Zwrócił się do zarządu. Objaśniono go. Z łatwością odnalazł ten grób dostatni, solidny i dobrze utrzymany. Przypominał salon nadradców, urządzony z myślą długiego służenia. Z prawej, lewej strony grobu były nie zajęte jeszcze działki i trawa na nich nieśmiało, wiosennie już rosnąć zaczynała. Dalej, jako tło, bielał mur cmentarny, a za nim wrzało życie w pobliskich koszarach.

Krajewski — stanął przy płycie grobowej, na której pewno i śmiało widniał napis. Oznajmiał on, że leżąca tu kobieta miała kiedyś imię Jadwiga, dalej niedyskretnie zawiadamiał, iż zmarła w 52 roku życia, aż wreszcie pysznił się zawiadomieniem, iż była żoną »nadradcy«. Wszystko to było według konwenansu i szablonu. Ale co przeraziło prawie Krajewskiego — oto, że po obu stronach grobu, na słupach, przytrzymujących kolczaste łańcuchy

w ogromnych wazonach z czarnego kamienia znalazł zostawione — swoje krzaki bzu.

I nie wiedział czy być niezadowolonym z tej świadomości, czy przeciwnie oddać się uczuciu niezadowolnienia, że to, z czem witać zamierzył życie, młodość, piękność, pulsującą świeżą falą krwi i ducha zdobiło grobową płytę, pod którą w proch rozpadały się martwe członki trupa.

— Może razem z moją kartą wizytową... — pomyślał ironicznie, przygryzając usta.

Szukał tej karty pomiędzy gałęziami z postanowieniem zabrania jej. Lecz karty nie było. Natomiast gałązka, do której sam własnoręcznie w sklepie przypiął tę kartkę w kopercie znikła także świeżo odłamana. To go uspokoiło. Widocznie panna Werner przecież liczyła się z temi kwiatami, skoro pozostawiała sobie ich cząstkę. Wprawdzie nie tak wyobrażał sobie, iż te bzy służyć jej będą. Przedstawiał sobie, że napełnią swą czarującą wonią jej dziewiczą sypialnię, stojąc na jakiejś nieznanej mu konsoli po obu stronach również nieznanego mu lustra. W tem lustrze jednakże musi przeglądać się ta wspaniała kobieta, czesząc powoli swe długie, ciemne, jedwabiste włosy i splatając je do nocnego spoczynku. Biała, smukła, z palcami przeświecającemi różowym blaskiem stoi tak oddana cała sobie i kontemplacji własnej urody. Bzy śnieżne kłonią się pokornie — kiściami swemi i od czasu do czasu gwiazdka delikatnego kwiecia leci ku niej w przesłanki,

czepiając się jej przejrzystych szat, lśniących paznogci jej nóg — lub fali miękkich jej włosów.

Dokoła cisza, spokój wielki. Jakby nabożeństwo odprawiał ktoś, mszę jakąś przed ołtarzem bóstwa piękności kobiecej, a bzy po obu stronach na wzór rozmodlonych akolitów służyły pokornie i wiernie. Takiemu to misterjum miały asystować jego kwiaty — a stało się przecież przeciwnie. Będą konać powoli na straży grobu zbyt wcześnie odsunięte i wyeliminowane ze świata żyjących. Lecz — stało się.

Krajewski wolno zawrócił ku miastu. Ogarniała go jakby drętwa moralna. Zły był na siebie, iż znów powstaje w nim ten ekskluzywizm miłosny, który każe mu udręczać się i psuć sobie każdą lepszą chwilę. Zaczynał być zazdrosny o czyny i postanowienia panny Werner, mimo, iż były czyste i w założeniu swojem doskonałe.

— E! pójdę do domu — zamknę się. Niech mnie djabli biorą — postanowił.

Lecz gdy dochodził już przyciemnionemi ulicami, żywo porwało go w swój czar wspomnienie wczorajszej wędrówki u boku panny Werner.

— Cudownie umie chodzić pod rękę — zachwycał się — rzadko która kobieta tak doskonale dostosowuje się. Chciałbym jeszcze kiedyś iść tak z nią długo, nieskończenie... A potem to dziwne wrażenie, iż u boku mego płynął raczej duch dobry, opiekuńczy, swój własny... To było cudowne.

Gdy dochodził do kamienicy, w której mieszkał, spojrzał mimowoli w swoje okna.

Było ciemno.

Przyzwyczaił się już do tego, że witało go jasne, przytulne światło. Mimowoli poszukał oczami Romanowej, ale jej nie było na zwykłym posterunku. Wszedł więc do sieni i otworzył kluczem drzwi swego mieszkania. Od progu uderzył go zaduch nie przewietrzanego pokoju. Zapalił szybko zapałkę i dojrzał, iż nie było sprzątnięte. Łóżko narzucone niedbale, nafty w lampie brakowało. Jakiś ogarek świecy tkwił w lichtarzu, zaświecił go. Karafka stała pusta, nawet nie wypłukana po wczorajszem mleku, o szynce, bułkach ślad zaginął. Widocznie przestano się znów troszczyć o niego. Stał tak bezradny, czując jakąś nienawiść, zionącą ku niemu z tych kątów.

Mimowoli zwrócił się w stronę rysunku panny Werner, za który zatknął wczoraj gałęzie jej bzów. Tak mu szpetnie targnęło się w duszy wrażenie tego opuszczonego pokoju, iż chciał moralnie poprostu przytulić się do czegoś piękniejszego.

Lecz bzów za ramą obrazu nie było.

Natomiast coś przeczuciem szarpnęło w nim i kazało mu spojrzeć na podłogę.

Przed nim bzy poszarpane na strzępy, jakby jakąś pełną nienawiści potargane ręką — konały na ziemi.

XII.

I tak stało mu się, jakby ktoś osobiście wyrządził mu straszną obelgę i znieważył w nim jakiś poczynający się majestat. Nie wiedział, ile już związało się lepszego czegoś w jego duszy z temi dwoma wątłemi, więdniejącemi już gałązkami. Gdy je zebrał z ziemi, odczepił kilka ocalałych listków i po krótkiem wahaniu zdobył się na czyn zakochanego żaka. Włożył te listki do książki, właśnie do Stendhala Miłości — znacząc bezwiednie rozdział o kodeksie miłosnym w XII wieku. Książkę położył obok łóżka i dopiero trochę uspokojony ułożył się na spoczynek. Ale zasnąć nie mógł. Był przemęczony moralnie i fizycznie. Coś w nim zaczynało burzyć się i fermentować. Wyczuł w sobie taki nastrój, jaki ogarniał go, gdy Frania-Poranek robiła mu jakąś burzliwą scenę, a on nie ustępował jej ani na krok. Lecz teraz wzmagającą się irytację przeniósł w stronę Romanowej. Winił ją o znieważenie kwiatów Wernerównej. Ohydne łapska, cuchnące wonią śmieci suterynowych darły i targały czarujące, delikatne gałązki, z któremi wiązała się już gama wspomnień.

Cudna piękność kobieca, poniewierana przez kobiecą prostotę. Dwa na skraju znajdujące się przeciwieństwa. Postanowił nie dopuścić więcej do takiego czynu. Rano, gdy wyszedł na ulicę znalazł Romanową w tumanach śmiecia i kurzu. Rad był, że się nie pojawiła ze śniadaniem. Wstrętna mu była. Nadzwyczaj ostro zażądał, aby mu oddała klucz od drzwi jego pokoju.

— W ten sposób uwolnię się od gospodarowania tej baby u mnie! — postanowił w myśli.

A głośno dodał:

— Romanowa sprzątać będzie wtedy, kiedy ja jestem w domu.

Wytrzeszczyła na niego swe rybie oczy.

— A bo co?

— To już do mnie należy. Proszę mi oddać klucz.

Złość ogarnęła stróżkę. Czuła, iż coś jej się z rąk wymyka.

Sięgnęła do kieszeni fartucha.

— Jest klucz. Ale czego się pan tak sadzi? Czy to źle było sprzątane — czy co?

— Za dobrze... — odparł, chowając drugi klucz do kieszeni.

Zamek był wertheimowski, nikt więc już mieszkania otworzyć nie śmiał.

Lecz równocześnie ogarnęła go nuda jakiegoś związania się z drobiazgami domowej egzystencji. Porwała go złość, więc powziął nagle decyzję.

— Proszę powiedzieć gospodyni, że wymawiam pomieszkanie. Wyprowadzę się na pierwszego.

Przysługiwało mu prawo dwutygodniowej wymowy. Znajdował się w początkach miesiąca.

Romanowa chwyciła miotłę i skrobnęła nią prawie po nogach Krajewskiego.

— Ta... może się pan wynieść przeze mnie — wypluła ze siebie ironicznie — ale ja panu wielmożnemu powiem prawdę. Wielmożny pan nigdy nie będzie miał spokoju przez te swoje dziewki. O! z jedną się jeszcze nie skończyło, a z drugą się zaczyna. Do czego to?

Uciekł formalnie do miasta, tak był przerażony tem, co posłyszał. Te wstrętne usta stawiały na jednej linji Wernerównę z ulicznicą i bryzgały w ten sposób jadem na czystość tej kobiety, czystość, której był pewien i przed którą już zaczynał bić pokłony.

— Wyniosę się stąd, wyniosę...

Z biura, po obiedzie — poszedł w ciche ulice z trwogą w sercu, iż nie znajdzie już oglądanego przez siebie przedtem pokoju. Lecz zdaleka już dostrzegł bielejącą kartkę. Ucieszył się. Pewną ręką zadzwonił do doskonale wyczyszczonych drzwi parterowych. Otworzyła mu ta sama wytresowana służąca. Zapowiedział, iż mieszkanie zajmuje. Dał jej na zadatek połowę czynszu i dołączył swój bilet wizytowy. Zapowiedział, iż sprowadzi się w tych dniach i wyszedł rad i uspokojony, jakby już mieszkał w tym cichym i doskonale utrzymanym domu. Przecho-

dząc, wybrał ulicę, na której mieszkała Wernerówna. Zdaleka dojrzał, iż jedno z okien miało zasłonięta roletę. Odczuł, iż za tą zasłoną jest choroba. Po krótkiem wahaniu postanowił zapytać o zdrowie nadradcy. Trafił na chwilę zamieszania. Służąca pobiegła po lekarza, gorączka bowiem była silna, dochodząca do czterdziestu. Panna Werner otworzyła mu sama, a na jej wrażliwej twarzy dojrzeć można było ślady bezsenności, trwogi i wzruszenia.

— Ojciec mój bardzo chory! — wyrzekła w formie powitania. — Posłałam po lekarza.

Chciał się cofnąć.

Ale ona zatrzymała go.

— Dobrze, że pan przyszedł.

Szybko ofiarował jej swoje usługi.

— Może iść po drugiego lekarza.

— Jeśli służąca naszego nie zastanie. Ale zaraz się dowiemy.

Wszedł, rozebrał się z palta i za chwilę był już w salonie, lśniącym od porządku, mimo panującej w domu choroby. Jedyną oznaką były tylko poskładane i nieporuszone numera gazety urzędowej. Leżały na stole, oczekując na kościstą, drżącą rękę, która je zwykle o oznaczonej porze otwierała. Równocześnie wbiegła służąca. Nie zastała lekarza w domu. Panna Werner wyczekująco zwróciła się ku Krajewskiemu.

— Za chwilę będę z powrotem.

— Koniecznie z lekarzem.

— Z lekarzem, proszę być spokojną.

Rozstali się nawet bez podania ręki. Czuł, iż chłonęła ją całą troska o ojca. Zaczynał pojmować, którędy do niej droga. Wybiegł na ulicę, czując się rad, iż on, niedawno jeszcze słaniający się od niemocy, dziś niesie pomoc i opiekę bardziej choremu. Po drodze wziął dorożkę i pojechał szparko do domu, zamieszkiwanego przez dobrze mu znajomego towarzysko lekarza. Zastał go w domu, odpoczywającego po obiedzie i przygotowującego się do popołudniowych wizyt. Był to młody, zdrów, rzeźki mężczyzna, któremu w życiu wszystko się wiodło. Miał czarujący uśmiech i dar wzbudzania u chorych zaufania. Leżał na otomanie w swoim gabinecie, palił papierosa i pił czarną kawę. Na brzuchu, zapewne dla strawności siedziała mu przecudna, trzyletnia córeczka w białej sukience, podobna do Chrystusika Tiepola. Z wielką powagą usiłowała wpakować ojcu paluszek do oka.

— Widzi pan! — powitał Krajewskiego doktór — kokietuję z moją córką.

A mała powtarzała jak litanję:

— Jestem tatusina Trzysia, dzifcia, titietta.

— Co jesteś, co?...

— Tatusina dzifcia...

— Prawda, jaka cudna?

— Tak! ale proszę cię, doktorze, pojedź ze mną do chorego.

— Och!...

— Trzeba. Dorożka czeka.

— Nie może wstrzymać się ten chory do wieczora?

— Zdaje się, że nie. Czterdzieści stopni...

— Ha... no... to...

Zdjął dziecko z brzucha i delikatnie postawił na ziemi.

— Idź Krysieńko do mamy. Tatuś niema teraz czasu.

Mała wytoczyła się z pokoju pełna urazy do Krajewskiego. Doktór sprawdził czy ma słuchawkę, blok, termometr.

— Ha, jedźmy! — wyrzekł z rezygnacją.

— Niedaleko — pocieszał go Krajewski.

— Kto to?

— Nadradca Werner.

— Ten, co ma tę piękną córkę?

— Tak! Pan go zna?

— Widziałem ich parę razy w Kasynie. To szampańska panna! — dodał, wsiadając już do dorożki. — A zbudowana, jak łania — ciągnął z lubością konesera.

Krajewskiemu zrobiło się i przyjemnie i jakoś nieswojo. Ten obojętny ton, rozbierający tę niedostępną kobietę, jakby obrażał ją. Równocześnie jednak zachwyt nad jej urodą zaczynał kierować jego myśli w innym kierunku.

— A cóż tam staremu? — pytał lekarz.

— Niewiadomo. Może influenza...

— Phi... wygląda fatalnie. Musi mieć sklerozę.

— Panna Werner bardzo niespokojna.

— Spodziewam się. Goła, jak święty turecki. Skoro stary umrze, z czego będzie żyła! A przyzwyczajona do wygód. Matka umarła, nawet tych marnych paruset reńskich mieć nie będzie. Cóż taka nadradczanka po ojcu dostanie!

To przecież ostatnia nędza.

Przed Krajewskim odkrywało się życie Wernerów z innej, istotnej strony.

— Rzeczywiście, to nie do pozazdroszczenia— odparł — pozostaje jej tylko dobrze wyjść zamąż...

— Ho! to bardzo problematyczne. Musiałaby na to być mniej piękna i mniej uczciwa. Obserwowałem ją i nie zauważyłem, aby kiedykolwiek posługiwała się brudnemi sposobami, uprawianemi przez panny, polujące na mężów. Cenię ją za to, ale i żałuję. Gotuje sobie fatalną przyszłość. Zobaczy pan!

Dojechali do domu radcostwa. Za szybami mignęła blada twarz Wernerównej. Gdy weszli do salonu, czekała na nich i natychmiast zaprowadziła lekarza do pokoju ojca. W chwilę później wróciła i zbliżyła się do Krajewskiego.

— Dziękuję panu! — wyrzekła, podając mu rękę. Wydała mu się bardzo szacunku godną.

Pochylił się nad jej ręką i pocałował ją.

— Czy pozwoli mi pani zostać chwilę. Chciałbym się dowiedzieć, jaki jest stan zdrowia ojca pani... a potem, może będę jeszcze na co potrzebny.

Odparła z prostotą.

— Proszę, niech pan zostanie. Będę panu wdzięczna.

Wskazała mu fotel, lecz nie usiadł. Ona stała koło drzwi pokoju ojca. Widział, iż miała oczy łez pełne. Prześlicznie wyglądała tak na tle zapuszczonych, ciemnych pluszowych, bogato sfałdowanych portjer. Rysunek linij jej ciała odcinał się doskonale. Nagle przez umysł Krajewskiego wężem-kusicielem przesunęła się myśl.

— Zbudowana, jak łania!

Ona równocześnie skierowała ku niemu swą cudną twarz, niepokoju pełną.

— Tak się bardzo boję! — wyrzekła, jakby usprawiedliwiając się ze swego milczenia. Chciał ją uspokoić banalnie, lecz znikła już za portjerą, wezwana głosem lekarza. Pozostała tam długą chwilę. Przez ten czas Krajewski wżywał się jakby w to wnętrze, gdzie choroba i śmierć obrały sobie siedlisko. Przedstawiało mu się inaczej, niż poprzednio. Czuł możliwość nędzy, ukrytą w tych kątach. Sieroctwo zupełne, które mogło wejść tu lada chwila, mogłoby wprowadzić fatalne i trudne do rozwiązania kolizje.

A przytem, co nagle przeraziło Krajewskiego i jakby ścisnęło mu serce szpetną możliwością.

Oto — czy ta trwoga, ten niepokój panny Werner o życie ojca miał podłoże w czystej, doskonałej miłości dziecięcej? Czy łzy te, szklące jej piękne oczy nie napływały raczej z trwogi przed niepewnem jutrem, przed tem pozostaniem »na bruku«, które

oczekiwało ją z chwilą śmierci nadradcy? Jakkolwiek pobudki te były bardzo zrozumiałe i ludzkie, to przecież psuły mu najzupełniej sylwetkę tej uosobionej doskonałości, którą pragnął koniecznie widzieć w tej dziewczynie. Równocześnie jednakże ucieszył się prawie. W trwodze tej przed odkryciem jakiejś skazy na jej moralnej istocie, był istotny i niezłomny dowód, iż w tem rodzącem się w nim zajęciu ku niej — przeważał właśnie pierwiastek duchowy ponad szarpiącemi go popędami zmysłów. Wolał bowiem odkryć w pannie Werner jakiś błąd fizyczny, dowiedzieć się, iż nosi fałszywe włosy lub ma biust wyłożony watą — jak stwierdzić, że serce jej nie biło tak silnie z powodu niepokoju przed możliwością utraty ukochanego przez nią ojca, lecz lękało się utraty dobrobytu, któren z istnieniem tego ojca był złączony.

Czuł, iż takie odkrycie sparaliżowałoby w nim budzące się ku niej uczucia.

— Co mi to przeszkodzi? — tłumaczył się przed sobą — egoistka czy nie, pozostanie zawsze pierwszorzędną pięknością. A to w kobiecie rzecz główna...

Lecz coś w nim przeczyło właśnie wielkim głosem. Rzeczy głównej należało chyba szukać właśnie gdzieindziej. I poczuł się nieszczęśliwy, szamocząc się w tej niepewności. Bał się, że zagaśnie ów promień spokoju, który mu zaczynał od tej kobiety spływać w duszę.

Niemogąc widzieć w niej bezwzględnej dosko-

nałości, przestałby wyczuwać jej wpływ dodatni i czysty. Wzburzyłoby się w nim to, co gwałtem przytłoczyć usiłował i tego się lękał. Zwyczajem mężczyzny stawiał osobisty swój interes na pierwszym planie. I dlatego pragnął nabrać pewności o czystości duchowej Franceski. Potrzebna mu była w tej chwili — a nawet konieczna.

To też, gdy w chwilę później zjawiła się w towarzystwie odchodzącego lekarza, wpił się niejako w wyraz jej oczu, pragnąc odczytać w nich istotną prawdę. Wydały mu się szlachetne i doskonałe. Lecz to była przecież kobieta, a więc...

Zaofiarował jej swe usługi w dalszym ciągu. Po odejściu lekarza, który przyrzekł przyjść wieczorem — należało zająć się troskliwie chorym. Stan jego był poważniejszy, niż nawet sądzono. Krajewski sam udał się do pobliskiej apteki, celem przypilnowania szybkiego wygotowania przepisanych środków. Gdy powrócił z lekarstwem znalazł pannę Werner już na stanowisku, jakby zrezygnowaną i w oczekiwaniu tego »najgorszego«. Zajmowała się otwieraniem butelki koniaku.

— To po chorobie mamy! — wyrzekła ze smutnym bardzo uśmiechem.

Odebrał jej z rąk flaszkę i korkociąg i wyręczył ją sam. Wogóle zaczynał zagospodarowywać się w tym domu i czyniło to nań dodatnie wrażenie. Cicho zawołał służącą, zażądał kieliszka, łyżki, świeżej wody. Słuchano go z szacunkiem i uważnie. Widoczne było, iż moralne wzruszenie chwilowo osła-

biło siłę woli w pannie Werner. Przytem ta »wieczysta kobiecość« w jakiejś chwili groźniejszej oglądała się za pomocą mężczyzny. Jako rzecz naturalną wydało się im dwojgu, że on przyjdzie wieczorem, po biurze.

— Do wieczora! — powtórzyli oboje prawie równocześnie, żegnając się ciepłym uściskiem dłoni. Nic bowiem tak szybko nie łączy ludzi i nie zbliża ich definitywnie, jak jakaś przyszłość niepewna i przeczuciem fatalności przepojona.

— — — — — — — — — — — —

Gdy wieczorem znalazł się znów w tym domu doznał wrażenia, jakby tu właśnie »żył« od lat wielu. Wszystko mu już tu było bliskie i znane.

I gdy panna Werner wyszła ku niemu ze swą bladą twarzą, lśniącą w pomroce przeźroczystą jakąś, czarującą bladością kosztownej, muszlowej kamei, wydała mu się także bardzo jego własną i bardzo oczekującą na niego.

Wzrokiem pokornym i pewnym siebie objął ją, jakby w posiadanie i zapragnął tym wzrokiem otoczyć ją, jakby koniecznością, bez której nie mogłaby żyć.

— Cóż, ojciec? — zapytał natychmiast.

— Przeważnie śpi... — odparła.

— To właściwość influenzy.

Westchnęła.

Nie łudziła się bowiem. Wiedziała, iż jest to raczej właściwość wyniszczonych organizmów. Gdy usiadł znów naprzeciw niej — na tym samym fo-

telu, na którym siedział podczas swej pierwszej wizyty, doznał wielkiego uspokojenia. Pomimo, iż do tej chwili nie otworzył przed nią swego serca tak jak tego pragnął, nie rzucił przed jej stopy cierpień, które nim targały — zrozumiał, iż sama jej obecność zaczyna wprowadzać go w fazę, w której ból staje się powoli wspomnieniem. Myśl o Poranku rozpływała się w jakimś pyle, który występował z oddali. Gasły i przepadały kolejno nienasycone jeszcze pragnienia i pożądania jej atłasowego ciała. Przylgnął teraz wzrokiem do białej, prawie surowej twarzy panny Werner i tem poił się, jak kojącym jakimś, doskonałym nektarem. Czuwali oboje tak nad tym śpiącym starcem, który może w tej chwili walczył ze śmiercią. Ta myśl łączyła ich, zdało się, nierozerwalnemi zrękowinami, dla których słowa i gesty były zbyteczne.

Służąca weszła cicho i zapaliła lampę, stojącą na złoconym słupie. Wielki abażur przyćmiewał blask. Równocześnie panna Werner powstała, jakby z żalem przerywając tę chwilę ciszy i nieruchomości.

— Pan pozwoli... — zwróciła się ku Krajewskiemu, wskazując mu drzwi, wiodące do jadalni.

Byłby wolał, ażeby nie potrzebował odbywać tej ceremonji jedzenia. Lecz, gdy wszedł za panną Werner do jadalnego pokoju, niechęć jego zmieniła się w zadowolenie. Ta czystość i precyzja, z jaką stół był nakryty, i całe urządzenie równe, spokojne, dostatnie miało cechę prawdziwego »domu« — w którym już dawno nie dane mu było przebywać.

Rozwichrzone, trochę cygańskie nakrycia Poranka — te fantazyjne ich *menu*, zaczynające posiłek od konfitur a kończące na barszczu — te posiłki, które raczej były terenem omdlewających wyczerpywań (bo pocałunki i denerwujące pieszczoty były tu główną przyprawą) — nie miały nic wspólnego z doskonałością tej prawdziwie domowej, rodzinnej atmosfery, jednoczącej członków całego domu przy jadalnym stole.

Co jadł — nie zdawał sobie sprawy. Widział jednak, że wszystko było umiejętnie dobrane i według zasad zrobione. Wiedząc, że panna Werner nie lubi zajmować się drobiazgami życiowemi czuł, iż tu działa jeszcze tradycja, pozostawiona przez zmarłą nadradczynię.

— Nauczyłaby się i ona, gdyby musiała! — myślał, patrząc z lubością na siedzącą przed nim Franceskę. — Tymczasem umie wytwornie jeść i być »panią« — przy stole. To jest nadzwyczaj miłe i ważne...

Odruchowo przypomniał sobie, jak Poranek często puszczał wodze jakimś wrodzonym, brzydkim nawyknieniom, jak smarował bułki szpinakiem, jadł sałatę nożem, podpierał się na łokciu, siedząc przy stole. Nawet w chwilach miłosnych uniesień ten sposób zachowania się raził go i psuł mu humor. Na jakiekolwiek uwagi z jego strony, Poranek reagował uśmiechem i propozycją:

— Całuj mnie w piętę, Tatuńciu!

I zwalczony — całował ją czasem w piętę, którą miała lśniącą, różową i gładką.

Tu — siedząc naprzeciw panny Werner przeżywał zupełnie inne chwile. Nic go nie raziło, powracał do dawno zapomnianych chwil, gdy w domu rodzinnym zasiadał do stołu naprzeciw swej matki, z pochodzenia »hrabianki« — i niezmiernie wykwintnej kobiety. Te same ruchy spokojne i pewne siebie, te same ograniczenia się do wydawania rozkazów oczami — cokolwiek tylko złagodzone, jakby odcieniem burżuazji, miała w sobie Wernerówna przy stole jadalnym. Jadła bardzo mało, jedynie tylko dla konwenansu — rozmawiała dyskretnie, nie poruszając tematów choroby, jakkolwiek widocznem było, iż całą duszą jest przy łóżku chorego. I powoli ogarnęło Krajewskiego złudzenie, jakby oto — on siedział we własnym domu i ta piękna, doskonała kobieta, którą podziwiał z tkliwem jakby rozmarzeniem była jego... żoną, jego niezaprzeczoną własnością. W myśli na pustem miejscu, widocznie zwykle zajmowanem tu przez »ojca« — umieszczał nawet mogącego przyjść do zdrowia nadradcę i ta zaschnięta sylwetka biurokraty traciła w tej ciepłej atmosferze swą sztywność, a nabierała coraz więcej cech »ojca« — i tylko właśnie »ojca«.

I wszystko zaczynało być tu dla Krajewskiego pociągające, tulące i miłe. Zszarpany w cygańskiej namiętności, która poprzednio uczyniła zeń swego niewolnika i zabawkę — kąpał się jakby w tem otoczeniu, w którem nie było miejsca na żadne wybu-

chy, wychodzące poza normę przeciętnej, równej linji.

— Dobrze mi tu... dobrze mi tu... — powtarzał w duchu, idąc za Wernerówną do salonu i mając jeszcze w oczach wrażenie wdzięku i taktu z jakim podniosła się od stołu po zakończeniu kolacji. Był to jakby półukłon w jego stronę, jakby jakaś starosłowiańska podzięka zato, że pozwolił ofiarować sobie gościnę, złagodzone przyjętym już dawno zwyczajem powstawania od stołu obojętnie i obco.

— Cudownie reprezentuje dom — zachwycał się. — Cudownie w każdym calu.

Wernerówna poszła do pokoju ojca. Krajewski usiadł na fotelu. Służąca postawiła przed nim filiżankę herbaty i widząc, że sięga po gazetę, zapaliła małą lampę, którą doskonale ustawiła przed nim na stole.

Poczem cichutko wysunęła się z salonu.

Złudzenie Krajewskiego, iż jest w swoim własnym, niezaprzeczalnym domu, rosło i potęgowało się. Przymknął oczy i pozostał tak przez chwilę rozkosznie duchowo uspokojony.

— Możeby tak pozostać na całe życie... — rysowało mu się w umyśle.

Otworzył oczy, ogarnął przyjaznym już teraz wzrokiem to wnętrze, pił herbatę, czytał gazetę urzędową i z uśmiechem zadowolnienia czuł się coraz lepiej. Gdy za chwilę do salonu weszła panna Werner, powitał ją szczerym uśmiechem. Odpowiedziała mu również jakimś wyrazem twarzy, pochodzącym

widocznie z warstw bardzo szczerych jej duchowej istoty.

— Cóż ojciec? — zapytał.

— Śpi! — odparła przyciszonym głosem.

Nie powiedział »nadradca«. — Zapytał »ojciec« i przyszło mu to bezwiednie, a wydało się bardzo naturalne. Krajewski dawno już stracił swych rodziców, z którymi przestawał przecięciowo — więcej z matką jak z ojcem. Dla niego jednak to słowo »ojciec« — miało wielki urok i znaczenie. Wymówił je w tej chwili z przyjemnością i czyniąc zadość jakiejś potrzebie duchowej. Słowem — zaczynało się wszystko składać na to, aby tworzyła się dookoła niego atmosfera kojąca i niosąca zapewnienie, że poza progiem tego domu nie czyha nic zdradzieckiego i z podłością w zanadrzu.

— I burżuazja jako norma egzystencji codziennej — może mieć dobre strony — myślał, gdy szedł ulicami ciemnemi już w stronę swego mieszkania i z uśmiechem zdziwienia skonstatował.

— Nie znałem *ich* z tej strony.

XIII.

Jakże opuszczonym, fatalnym, nieprzytulnym wydał mu się teraz jego własny pokój, do którego wszedł z odrazą. Wszystko było tu w nieładzie, nieporządku — tak jak rano zostawił. Łóżko nie posłane, rozrzucone — okno nie otwarte, nieprzewietrzone — brak nafty w lampie. Przypomniał sobie, iż zabrał ze sobą klucz ode drzwi. Wchodząc do kamienicy zauważył białą kartkę widocznie zawieszoną już przez gospodynię i oznajmiającą jego mieszkanie do najęcia. Doznał jakiegoś dziwnego uczucia. Coś ścisnęło go za serce, jakby na widok ogłoszenia pogrzebowego. Przeszedł szybko mimo i postanowił zająć się mimo nocnej pory pakowaniem swych rzeczy. Wyciągnął jakiś podręczny kuferek i zaczął układać w niego książki i drobiazgi. Co chwila potykał się o jakąś rzecz przypominającą mu dokładnie pożycie jego z Franią Porankiem. Odrzucał precz te ślady bytności w jego pobliżu tej dziewczyny, która była jeszcze niedawno *wszystkiem* jego życia. Brutalnie ciskał o ziemię te naparstki, no-

życzki, szpilki, jakieś słoiki gold-cremów, pocztówki o wstrętnych barwach, starte gumki, którymi Frania »chroniła« swe obcasy od zniszczenia i inne drobiazgi, które kobiety mają specjalny dar gromadzić koło swej osoby.

I ciągle, jak z pod ziemi, wyrastały mu one pod rękami pochowane, poukrywane, poczepiane jego dawnego samotnego życia, a tak żywe, tak krzyczące silnie i niezagłuszenie, pomimo, iż wszelkiemi siłami starał się krzyku tego nie słyszeć i stępić w sobie wszystko, co go z niemi łączyło — i ból i niewyraźne uczucie rozkosznych przypomnień.

— Precz! precz! to wszystko — precz...

W tej ciemni, przy dogorywającym ogarku świecy, wyrywał ze siebie jakby rozrastające się uprzednio całe masy chwastów, piekących pokrzyw, kłujących bodiaków. Doznawał coraz więcej wzmagającego się bolu w zetknięciu z tem wszystkiem.

— Precz z tem wszystkiem! precz!...

Wreszcie wyczerpany, oblany potem upadł na łóżko jak martwy i leżał tak z otwartemi oczami. Świeca zagasła. On przeżywał sam siebie, przeżywał tę trupią godzinę, w której człowiek zamknął do trumny swą własną duszę, oczyściwszy ją według zwyczaju tak jak się myje i czyści stygnące ciało zmarłego. Powyłamywał części tej duszy i ułożył je w przyzwoitych linjach.

— Tak będziesz już na wieki... — postanowił.

Wieko zamknął — i zdaje mu się, że wszystko jest w porządku i że to się skończyło. Chodzi już tyl-

ko o dobrą grobową jamę — zakopać — zasypać — zaklepać. I niech trawa porośnie...

A tymczasem — tam, w trumnie umyta dusza pracuje w dalszym ciągu. Cicho, zdławiona po omacku — po ciemku, wyciąga swe cząstki, rozprostowuje je i tem samem nie dozwala, aby względem niej zaszło coś nieodwołalnego. Słychać lekki, nieśmiały stukot. Coś się dobywa, powraca na powierzchnię, aż wreszcie pędem, skokiem jednym odzyskuje panowanie, mszcząc się jakoby za to, że ją wykreślić z pierwszorzędnego stanowiska chciano.

— Wracam, jestem i zostanę! Nie umarłam, jak pragnąłeś — nie spałam nawet. Powlokę się za tobą, jak wierny cień i nie dam ci zakosztować samotnie ani jednego przeżycia, ani jednego wyniku twych zmagań. Podzielimy się wspólnie z braterską ścisłością. Wracam, jestem i zostanę.

Krajewski musiał zgodzić się z rzeczywistością. Lecz oto jaki kompromis wygarnął z tej ciemni i jako modus vivendi sam sobie zaproponował.

— Więc zgoda... lecz życie to wspólne *musi* ułożyć się inaczej. Tylko same piękne, czyste, krystaliczne wrażenia i odczucia niech rządzą mną i czynami mojemi. Z tamtem poprzedniem zrywam stanowczo i zwracam się ku temu, co jest pierwotne i najlepsze. Pić będę z czary, z której jeszcze nikt nie pił — doznam rozkoszy, wtajemniczenia i budzić się będę do nieznanych dreszczów, szukać będę ust, których żadne jeszcze nie szukały usta, czuć będę obręcz zamykających się dokoła mnie ramion, któ-

remi do tej chwili rządziła jedynie ekstaza modlitwy.

Wszystko to — będzie teraz mojem życiem — bez rumieńca i uczucia wstydu. Powoli... zapomnę...

Świt wstawał szary, leniwy, jakiś chory i wilgotny. Porozrzucane na podłodze masy rzeczy przybierały kształty drzemiących zwierząt. Nagle — strzelił jakiś blask czerwonawy, przebił szyby i padł wśród stosu uświęconych wspomnieniami miłosnemi drobiazgów. Zakrwawiło się to jak rana jeszcze świeża i dysząca dymem ofiarnym. Krajewski doznał olśnienia, jakby nagle ujrzał spełnioną przez siebie zbrodnię. Lecz porwał się — otworzył na rozścież okno i postanowił być silnym. Słysząc chód Romanowej, przywołał ją i kazał przynieść świeżej wody, w której zmył się obficie, drżąc jakiemś pożądaniem nawet zewnętrznej świeżości. Kazał stróżce zrobić powierzchowny porządek, lecz nie dotykać porzuconych na środku pokoju przedmiotów. Sam przez ten czas ubierał się pośpiesznie, ale starannie. Romanowa zamiatała jakimś szczątkiem miotełki chmurna i brzydka. On próbował podtrzymać się i nie okazać wobec niej ani cienia słabości. Zaczął cichutko gwizdać przez zęby jakąś starą piosenkę francuską o miłych, powtarzających się rozkosznie zwrotach. Było to świeże i rozbrzmiewało jak śmiech młodej, niewinnej dziewczyny.

— Będę szczęśliwym, skoro doprowadzę Wernerównę do takiego szczerego, z rosy ziemskiej czerpanego uśmiechu! — pomyślał, wiążąc krawat w lustrze.

Nagle zaskrzypiał głos Romanowej.

— A ten rondelek, to mój...

Odwrócił się jakby ściągnięty z jakiejś wyniosłej skały, uwieńczonej pnącemi różami, a mającej nad sobą rozpięte nieskalane błękity niebios.

— Sprawiedliwie! — twierdziła dalej stróżka.— to panna Frania pożyczyła kiedyś odemnie.

— Jaka panna Frania!...

— No... jakaż... *nasza*, no! przecie panowa... ta, co tu z panem siedziała.

Aż przejął go dreszcz. Potrząsała przed nim zasmolonym od naftowego płomienia maszynki rondelkiem.

— Proszę skończyć jak najprędzej — wychodzę. Jutro się wynoszę.

— A!...

Nie powiedziała nic więcej i wyszła pełna urazy, unosząc rondelek. Krajewski podjął przerwane gwizdanie piosenki i udał się na miasto. Idąc do biura, wstąpił do Wernerów i kazał zanieść ze sklepu z kwiatami za sobą dwa wielkie wazony białego bzu. Gdy zadzwonił i otworzono mu, spotkał się oko w oko z Wernerówną, przechodzącą przez przedpokój. Odziana była w jakąś zupełnie lekką, białą domową sukienkę i ten skromny strój Westalki podziałał na niego w dziwny sposób. Powitała go bez zdziwienia i powiedziała, nie czekając na jego zapytanie:

— Zdaje mi się, że gorączka spadła. Czekam na lekarza.

Weszli do salonu. Kazał wnieść bzy i ustawił je sam u stóp panny Werner.

— Te, niech przy pani zostaną! — wyrzekł mimowoli.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Pan... wie... — szepnęła — skąd?

— Byłem *tam*, widziałem...

— Ach! tak...

Umilkli przez chwilę. Coś już łączyło ich w czarujący sposób.

— Idę do biura... — przeciął pierwszy — po południu przyjdę tu znowu...

— Tak! tak!

Odprowadziła go do drzwi. Zdawało się im obojgu, że mają sobie dużo do powiedzenia, ale weszła do przedpokoju służąca, chcąca coś zakomunikować pannie Werner. Pożegnali się tylko uściskiem ręki i wzrokiem.

Krajewski cały ranek i podczas obiadu miał przed sobą czarujący widok Wernerównej, gdy tak stała wśród ścian salonu na tle purpurowych, ciemnych aksamitów w swej białej, długiej szacie poza płotem delikatnych, śnieżnych bzów, które sam ustawił u jej stóp. Był to rzadkiej piękności obraz i czuł, że wykwita tu miłość, która doprowadzić może jedynie do najwyższej doskonałości. Zaczynał czuć całe fale uczucia, które dobywały się teraz z jego serca na wierzch i dopomagały do tworzenia się dokoła niego coraz większego kręgu nadziei i światła.

Natychmiast po obiedzie udał się do mieszka-

nia Wernerów. Znalazł tam nastrój weselszy. Już od progu służąca, która coraz więcej oswajała się z jego obecnością, powitała go zawiadomieniem, iż »panu nadradcy lepiej«.

Gdy wszedł do salonu, z fotela powstała Wernerówna, jakaś spokojniejsza i zrównoważona.

— Ojcu lepiej — wyrzekła z radością. — Gorączka spadła, lekarz uspokoił mnie zupełnie.

Krajewski usiadł naprzeciw niej i mimowoli doznał uczucia niezadowolnienia.

Tak mu dobrze było stawać się tu nieodzownym, koniecznym, jakby panem domu, który powoli obejmował ster i kierownictwo. Lecz pocieszyły go w dalszym ciągu słowa panny Werner.

— Ale... rekonwalescencja będzie długo trwała. Tak powiedział lekarz.

I ze smutnym uśmiechem dodała:

— Będzie jeszcze niejedno do przeniesienia.

Podchwycił natychmiast.

— Przeniesiemy to niejedno i ojciec pani zupełnie wydobrzeje.

Wyciągnęła ku niemu rękę.

— Pan dobry... ale lękam się nadużywać dobroci pana.

Pochylił się nad tą śliczną, smukłą ręką o cudnych paznogciach.

— Jestem egoistą... — odparł — czy pani tego nie widzi?

Spuściła oczy w ziemię i tak pozostała, jakby rozważała ukrytą zawartość jego słów.

Bał się czy nie obrazi się jego śmiałością. Oczami poszukał wazonów z ofiarowanemi rano bzami. Czy może ustawiła je w pokoju chorego ojca? Zbudziło to w nim pewien niesmak. Chciał się pozbyć tego uczucia. Popełnił więc nietakt i zapytał:

— Gdzie bzy?

— W moim pokoju.

Rozpromienił się cały.

— Stoją na konsoli? po obu stronach lustra?

Zdziwiła się.

— Skąd pan wie, że tak jest właśnie.

— Miałem wizję.

— Jaką?

Chwilkę się zawahał. Powstała w nim podła poprostu chęć uderzyć w nią w zuchwały sposób, wstrząsnąć tę dziewicę obrazem jej samej nagiej, wśród bzów, podziwiającej cud swego ciała w tafli lustrzanej. Ale — ona — podniosła ku niemu swe przeczyste źrenice i zrozumiał, że nie było tu miejsca na wyznanie erotycznych myśli, które go dręczyły.

— Są jeszcze piękniejsze, jak te, które stoją na grobie matki pani — wyrzekł półgłosem.

— Tak cudowne. Ale kiedy pan był na cmentarzu?

— Przedwczoraj.

— A!

Skorzystał ze sposobności.

— Sądziłem, że może panią tam zastanę.

Twarz jej pozostała nieruchoma. Nie wiedział

czy nie rozgniewała się, iż brał za pretekst grób jej matki do spotkania się z nią i widzenia jej.

Lecz wyczytać właściwego wyrazu nie mógł. W tej chwili służąca wniosła poobiednią herbatę i ustawiła przed nimi. Przyjemnie mu to było, świadczyło bowiem, że wcielili go jakby w porządek domowy i że on współżyje w tej cichej i dobrze unormowanej egzystencji. Przyczem, zachwycało go, iż przeżywa teraz nieznane mu zupełnie sensacje. Musiał się bowiem liczyć z każdym gestem, spojrzeniem, myślą nieledwie. Poprzestając dotąd w towarzystwie kobiet pochodzących z dziewczyn łatwych lub jeszcze łatwiejszych może od nich kobiet, należących do pluto lub arystokracji, nie powściągał nigdy zmysłowości swych gestów, słów, które wnoszą zamieszanie i są jakby przedsmakiem, obietnicą przyszłej rozkoszy.

— Taka biurokratyczna burżuazja ma pewien wdzięk i czar — myślał, wychodząc wieczorem z tego cichego domu, gdzie zasypiał spokojnie osłabiony starzec z czuwającą nad nim wyniosłą i nieskalaną dziewczyną.

W miarę oddalania się niebezpieczeństw, które u progu domu stanęło na chwilę czuł, że Wernerówna staje się znów silną i jednolitą i że jest to twierdza, którą zdobywać będzie trzeba.

— Czy jednak mam na to dość sił? — przeszło mu przez głowę — może właściwie czerpać je będę właśnie w tym jej oporze i to mnie zwiąże z nią nierozerwalną nicią. Zobaczę...

Palił papierosa i szedł ulicami jakiś niezdecydowany. Widział, że to wszystko jest na długą metę. — Przyzwyczajenia łatwych zdobyczy zepsuły go zupełnie. Wiedział, że jedynie tylko prawa i uświęcona droga doprowadzi go tu do celu. Lecz czy cel ten będzie tak doskonały, aby wart był zachodu i wyrzeczenia się tych ślepych i nieposkromionych sił życia, które tworzy porwanie się dwojga oszalałych żądzą ludzi — ku sobie.

Jakaś ładna i pełna dziewczyna w modnej, rozwianej sukni otarła się o niego pod światłem latarni.

— Przepraszam pana — wyrzekła z zaczepliwym śmiechem.

— Może iść za nią... — przemknęło mu przez umysł. — Wezmę ją na kolację, upiję się — upiję ją... Może to będzie lepsze — właściwsze.

Lecz nie odwrócił się i poszedł swą drogą, mimo, iż dziewczyna czekała na niego na rogu ulicy. Raz jednak zrodzona myśl, zaczęła w nim budzić się, wrzeć i stawać się obłędną potrzebą. Nagle jakiś zwierz młody zbudził się w nim, zwierz uwięziony w zbyt pięknej o stylu gotyckim — klatce. Zaczynał rozumieć, że w tej nocy wiosennej konieczne mu jest łatwo oddające się ciepłe ciało, w które wpiłby się pożądającemi rozkoszy zębami — bez zastrzeżeń, bez długich korowodów, bez hołdowania konwenansom. Ze zmiennością mu właściwą w przeciągu pół godziny czara krystalicznej czystości, z której pić zamierzał, przybrała ton nudnawego, martwego opalu. Gnał ku zdecydowanym blaskom rubinu i sza-

firu — pożądał pereł lśniących i chłodu korali. Namiętność jego przeradzała się w chuć, wspomnienie dawnych rozkoszy, drżeć zaczynało w każdym nerwie i rwało naprzód fale krwi przepełniające jego żyły...

Cierpiał.

Nie mógł się wyzwolić od żądz — widział to i zrozumiał z bólem. Odczuł, iż nie będzie umiał *czekać* w czystości na tę najwyższą nagrodę, jaką być mogło posiadanie czystości dziewiczej, nieuświadomionej i nieskażonej.

Wiedział, iż powinien był przystąpić do takiego połączenia się, choć pozornie oczyszczony od brudnych i niskich zetknięć. Na to — należało odosobnić się i zakreślić dokoła siebie zaczarowane, nieprzekraczalne koło. Dopiero wtedy mógł sięgnąć po zerwanie kwiatu, który pięknił dlatego, aby czarem swym godzić więdnące serca mężczyzn z istnieniem koniecznem kobiety. Lecz na to on nie miał siły.

Wlókł się tak wśród gasnących powoli latarni ulicznych i mijał czyhające w ciemni ulicznice. Przez chwilę przeszła mu myśl, że biorąc jedną z nich, zdoła odzyskać znów spokój i będzie zdolniejszy później do panowania nad sobą. Lecz, w istocie rzeczy wiedział, iż tak się nie stanie. Raczej porwą go znów całe serje namiętności ślepych i brudnych i wlec go będą spętanego za sobą i wszystko stanie się zniszczone, stracone, a on zagubi ścieżkę, wiodącą go do czystego, jasnego źródła, które mogło dać mu odrodzenie.

Nie wiedział jak, pogrążony w tym boju, który staczał ze sobą, znalazł się u bram swego domu. Obejrzał się jeszcze, jakby niepewny, na czerń przyczajonego i jakby czekającego nań miasta. Lecz równocześnie zaczął padać deszcz ciepły i orzeźwiający. Zadzwonił machinalnie i po otwarciu bramy szybko otworzył kluczem drzwi do swego pokoju. Zapalił świecę, którą rano założył w lichtarzu i usiadł w palcie i kapeluszu na łóżku. Tracił poczucie istnienia wyczerpany i drżący. Jego cienkie wargi pogryzione były aż do krwi. Czuł się nędzny, powalony zwierzem, które dławiło go za gardło. Jakiś jakby skowyt krótki, urywany wyrwał mu się z piersi.

I nagle zmienił się cały w słuch.

Z poza okna, które rano pozostawił nie domknięte, szczeliną, przez którą wciskał się ciemny wicher uliczny, doleciał go takiż sam skowyt, tylko pomieszany jakby z jękiem, jakby z westchnieniem konającej piersi.

Znał ten głos, mieszał go przecież ze swoim, gdy w nadmiarze rozkoszy, przechodzącej już w ból, kiedy oboje równocześnie zapadali w gwiezdną nieskończoność i stawali poza granicami ludzkiej świadomości.

Porwał się z łóżka i rzucił ku oknu.

Roztworzył je na rozścierz i chciwie wychylił się w czerń uliczną.

Pod oknem, wtulona w mur — w jakiemś rozpaczaniu najwyższem, pod siekącym deszczem o ciepłych wiosennych niciach stała — *Frania Poranek!*

XIV.

Lekkie światło, idące z okna, oblało jej twarz, którą na odgłos otwieranego przez Krajewskiego okna, podniosła do góry. Jakiś mały kapelusz nie ocieniał jej oczu i pozwolił, że wpatrzyły się w mężczyznę te oczy błękitne, zrozpaczone i przeklęte, spotkały się z jego źrenicami i w jednej chwili posiadły go.

Wyciągnął ku niej ręce. Parter był niski. Spięła się jak kot po okienku piwnicy i czepiła się jego rąk z jakiemś tragicznem pożądaniem i chciwością. W jednej chwili znalazła się przy ramie okna. Za wygięcie pacierzowego stosu — podłożywszy rękę, podniósł ją ku sobie i wrzucił jak łachman bezwolny do wnętrza pokoju.

Skoczyła mu do szyi i uczepiła się go — poczuł ból dojmujący i zarazem rozkoszny. Wpiła mu się zębami w szyję.

Gryzła go, bełkocąc:

— Tatuńciu! tatuńciu!...

Pociągnęli się oboje równocześnie w stronę

łóżka. Padli nań, rzerząc w zapamiętaniu i szaleństwie.

Słychać było tylko:

— Tatuńciu!

To znów:

— Poranku!...

Okno, które pozostało otwarte, biło z łoskotem zrywającego się wichru.

Razem z nimi szalała przeładowana, rodząca się siłą twórczą — wiosenna noc!

— — — — — — — — — — — —

Nad ranem zbudził się pierwszy Krajewski wyczerpany i bezprzytomny. Długo musiał zbierać myśli i rozbierać fakta, zanim uporządkował wszystko, przez co w czasie tych ostatnich godzin przeszedł. Na ramieniu ciężyła mu rozespana głowa Poranka. Gęstwina jej rozczochranych włosów namaszczonych jakąś »brylantyną« — woniała mu nudzącym zapachem, właściwym bardzo trywialnym istotom.

I całe to młode ciało w poszarpanej od szalonych pieszczot bieliźnie wydawało ze siebie sztuczny odór tanich pachnideł branych bez wyboru, bez smaku i duszących naturalną woń, właściwą kobiecej istocie. Nie poruszał się przecież, choć ten zapach, przypominający lupanary, zaczynał go męczyć i dręczyć powoli. Chciał, aby zbudziła się i aby uwolniła go od tego wrażenia węchowego, które wlokło za sobą nieskończone i znów dławiące go przypuszczenia. Spojrzał na porozrzucane po ziemi części jej odzieży. Dopełniały wrażeń węchowych. Strojne były

w tanie imitacje walansjanek i upstrzone kokardami wstążek. Zamknął oczy. Czuł, iż dawny ból zaczyna w nim odradzać się i wstawać z martwych.

— Ulicznica!... nic więcej...

Nagle, ona drgnęła i zbudziła się.

Rzuciła się ku niemu w kobiecem nienasyceniu i w tej minucie cofnęła się. Wyprężyła ręce — odepchnęła go i usiadła na łóżku, okryta falą włosów i łachmanami batystów.

Chmurna, z twarzą świecącą od potu, rzuciła mu przez zęby:

— Ty nie jesteś Tatuńciu! ty jesteś drań!

Otworzył szeroko oczy. On to miał już usta pełne obelg, któremi miał zamiar obrzucić ją — po dawnemu — a tu, ona — na dzień dobry...

— Jesteś drań... — powtarzała z wściekłością.

— ?...

I nagle rozpłynęła się w furji zazdrosnej.

— Jesteś drań... bo już masz dziewkę, nową dziewkę... ja wiem...

Chciał zaprzeczyć. Ale ona nie dała mu przyjść do słowa.

— Taka jakaś drandryga w pluszowych żakietach i w żałobie, co ją aż tu przywlokłeś i po łapach ją lizałeś...

Zrozumiał, że chodzi tu o pannę Werner.

— To nie jest żadna dziewka... — zaprzeczył — to bardzo przyzwoita i uczciwa panna. Zakazuję ci mówić o niej w ten sposób.

Nasypał tem żaru do ognia.

— Co to jest zakazuję? — krzyknęła — jak mi się podoba, to nietylko mówić o niej będę, ale jak ją zobaczę na ulicy, to pazurami pysk jej rozorzę. Porządna?... porządna!... a włóczy się po nocy z obcym mężczyzną.

— Przyprowadziła mnie, bo byłem chory.

Zaczęła się wykrzywiać po swojemu, jak pajac.

— Dobre duryty koły prystupaje! Tak z pielęgnacji. To ja cię pielęgnowałam jakeś miał influrencję — to ja siedziałam u Romanowej i gotowałam ci kakao i rosoły i wszystko... ja...

— ?...

— A tak, wytrzeszczaj oczy — ale to tak. Spytaj się Romanowej — to ona ci powie. A przed twoją chorobą, to kto ci wysprzątywał pokój i froterował, oblekał pościel? kto? kto? Ja, zawsze ja. O! nawet zegarek nakręcałam, tę żabę na popiół nałagodziłam, to się potem chowałam, jak jaki złodziej... jak nie wiem co...

Łzy jej napłynęły do oczu.

— A ty draniu, cholero przez ten czas włóczyłeś się z uczciwemi pannami de pachę — i kwiaty od nich zatykałeś za jakieś parszywe rysunki. A tam także były zatknięte pierwiosnki odemnie, co ci na tacce ze śniadaniem przez Romanową posłałam. Z jednej strony odemnie, a z drugiej od tamtej...

Przez łzy — popatrzyła na niego i nagle rzuciła się mu na piersi, wołając wielkim głosem:

— A ty jesteś mój! mój! i nikt nie śmie pchać się do ciebie... bo ty jesteś Porankowy Tatuńcio

i wszystko... Powiedz, że tak... powiedz że tak... bo inaczej obiję tę twoją psiakrew i narobię ci publiki, a sobie co zrobię...

Dla uspokojenia, bo stchórzył przed »*sceną*«, jaka z całą wspaniałością się przed nim rozwijała — zaczął głaskać ją, pieścić i tulić do siebie.

— Ależ tak Poranku... tak... jestem twój, tylko twój...

— Na całe życie?

— Na całe życie!

— I o tej jakiejś cholerze nie myślisz?

— Nie myślę.

Ale była nieubłagana.

— Powiedz, o tej — cholerze...

— Ach! jakaś ty...

— Powiedz!

W myśli przesunęła mu się doskonała, szlachetna, wykwintna postać panny Werner. Zabolało go w sercu, poniewierać głupio, mało brutalnie tą dostojnością kobiecą.

— Co ci po tem... — starał się uspokoić rozszalałą dziewczynę — dlaczego chcesz, ażebym był ordynarny...

— Niby że ja jestem ordynarna? co?

— Nie. Ty jesteś kobieta... więc ci wolno, ale ja mężczyzna...

— Ta, ta, ta... gadaj zdrów...

Pchnęła go, wyskoczyła i zaczęła szybko odziewać się.

— Bywaj zdrów holenderski śledziu!

Porwał się. Czarna przepaść minionych, przetęsknionych dni przesunęła się przed nim.

— Gdzie idziesz? — krzyknął groźnie.

— Djabli ci do tego.

— Nie pójdziesz!

Wyskoczył z łóżka. Wyrwał jej z ręki bluzkę, porwał ją za ramiona i cisnął na krawędź. Ukąsiła go w rękę aż pokrwawiła sobie zęby. To ich oprzytomniło oboje. Rzuciła mu się do ręki i całować ją poczęła. I znów stopnieli oboje w uściskach i krzyku. Gdy nasycili się sobą, on nie odmówił jej nazwania panny Werner »cholerą« — ona zaś zabrała się natychmiast do robienia śniadania i porządkowania maszynki naftowej. Nie wiadomo napozór, które z nich miało w tej chwili przewagę — tylko chwilami chmurne i nieufne spojrzenia mężczyzny krzyżowały się z bezmyślno wyzywającym wzrokiem kobiety. I ręce im drżały, ciągnąc się w nieprzerwanej chęci pieszczoty i sprawdzenia możności ciągłego posiadania.

Gdy Krajewski wyszedł z domu, rzuciła za nim już u progu:

— A nie spóźnij się na obiad!

Przyjął ten rozkaz charakterystycznem skurczeniem ramion, którem mężczyzna przyjmuje zwykle lecące za nim w ślad zlecenia kobiety.

W biurze walczył ze snem, który dławił go poprostu. Czuł na sobie ironiczne spojrzenia Konitza, który odrazu »zwąchał pismo nosem«.

Niecierpliwie patrzył na zegarek, nie mogąc

właściwie zrozumieć swego stanu. Czy było to pragnienie jak najśpieszniejszego powrotu do domu i ujrzenia znów Poranka, czy też jakiś lęk przed tem rozpoczęciem tej karykatury familijnego życia, które zaczynało wyciągać do niego ramiona. I rwało się w nim coś, szarpało niepewnością i jakimś bolem.

— Ona? — myślał — ona wróciła, tam jest... jeszcze podlejsza niż była... nie powiedziałem jej nawet nic... wystarczyło nic... jakiż jestem nędzny... co za zwierzę ze mnie!

Obrzydzenie go porwało do siebie, do niej — jakieś nudności fizyczne wstrząsnęły nim.

— Ach! żebym jej nie zastał w domu! — pomyślał, łudząc się tą nadzieją, która zarazem miała w sobie jakiś podkład rozpaczy.

Lecz gdy zbliżyła się godzina wyjścia z biura, porwał się cały drżący i zgorączkowany. Lękał się, aby się nie spóźnić. Biegł jak pies, czujący, że czeka go ręka pana, ręka uzbrojona w bat.

Dobiegając do domu miał już tylko jedno w duszy pragnienie:

— Żebym tylko ją zastał...

Zdaleka już dostrzegł, że wygląda przez okno.

Roześmiana była, wesoła, rozczochrana, promienna. W jednej chwili oczarowała go. Pomiędzy falą włosów błyskał różowy szmacik jej ramienia. Wystarczyło mu to. Wpadł do pokoju jak żak — młody i drżący. Porwał ją i giął w swych rękach, jak świeżo zerwaną trzcinę. Poddawała mu się umiejętnie i zarazem zwierzęco. W pokoju pachniało od

niej i od jakiegoś ostro zaprawionego jadła. Gdy siedli do niedbale zastawionego stolika zmęczeni byli, ale nie nasyceni. Zdawało się, że pożerają strawę, jak przed chwilą pożerali siebie — ale i to było mało, bo zbudziło się w nich dziesięć organizmów głodnych i tyranizowanych. Obiad ten był bez ładu i składu — złożony z jakichś dań prostackich i wykwintnych nagromadzonych obficie. Lecz nie szło tu o szablon i konwenans — nie było tu normy — tak jak w całym ich stosunku nie było normy. Tańcząc fandango jakieś cudackie w jednym pantoflu, latając od maszynki naftowej do suteryn — Poranek myła pośpiesznie garnek po zupie pomidorowej, aby w nim przynieść bajeczny budyń ze sera i równocześnie jakieś ohydne gołąbki z wieprzowiny, cuchnące zdaleka cebulą. Popijała to wszystko wodą z sokiem malinowym i przegryzała chlebem posmarowanym grubo musztardą.

Błyskały jej zdrowe zęby, świeciły oczy z pod spadającej fali włosów, różowiły się piersi — ramiona — łokcie. Była zdrowiem, tchnieniem rodzącej się wiosny, wesołością. To życie, do którego wróciła na krótki przeciąg czasu uzdrowiło ją zupełnie. Anemja jej, którą się dławiła, żyjąc zamknięta w tym pokoju, z którego wypadła do uprawiania dalej swego zwierzęcego procederu, znikła i oto rozbujała się w niej znowu całym pędem młodość niehamowana i niedławiona w swych instynktach.

Uczuł to Krajewski i powoli posępniał, zatracał humor, który go ogarniał i potrząsał nim jak

próchniejącem już drzewem — wiatr ciepły — wiosenny.

— Dobrze jej było... bezemnie! — myślał. — Lepiej niż u mnie.

Wstał od stołu nagle przejęty odrazą. Rzucił się na łóżko. Zapragnął samotności, spokoju. Ale ona już była tuż przy nim z papierosem, który mu usłużnie podawała, zaciągnąwszy się parę razy poprzednio. I usiadła zwinięta, jak kot, na krawędzi łóżka, gładząc go po nogach i śmiejąc się bezmyślnie:

— O... Tatuńciowe nóżki...

A w nim wzbierała chęć krzyku:

— Gdzie byłaś? co robiłaś przez ten czas, gdy uciekłaś w świat przez to otwarte okno? Jakim brudem żyłaś? jakim błotem oddychałaś? z kim wałałaś się podle, bez wstydu, czci — i sumienia. — Gdzie zbierałaś te rumieńce i te świecące oczy, z któremi znów do mnie się przywlokłaś. Odpowiadaj!

Ale ogarniało go lenistwo i jakiś wstyd rozpoczęcia tej sceny. I oto nastąpiła rzecz dziwna i niespodziewana.

Oto *on* wstydził się i czuł jakby winien temu co się stało. Tępo i ponuro patrzył na nią. Rozumiał, że głównie teraz targa nim nie to poprzednie jej życie, o które mu przedtem chodziło tak tragicznie, ale te kilkanaście dni spędzone przez nią, w czasie których sądził ją chwilami pod samobójczą mogiłą — a które nie były niczem więcej jak jakiemś odżywczem przytuliskiem, dającem jej świeżość i utraconą w pożyciu z nim siłę młodości.

Przerwała to milczenie nagłem zapytaniem:

— Gdzie ty się miałeś wynosić, Tatuńciu?

Przypomniał sobie, iż rzeczywiście miał się przenieść, że wynajął mieszkanie...

Ale ona dokończyła, nie dając mu czasu na odpowiedź.

— Ale ja kartę kazałam zdjąć i rzeczy rozpakowałam. Bo gdzie my-by się przenosili.

I przegięła się wdzięcznie, śmiejąc rozkosznie i powtórzyła:

— Ta bo gdzie my-by się przenosili?

Nie odpowiedział nic, bo czuł, że miała rację.

Rzeczywiście — gdzie oniby się przenieśli!

Czy do tego cichego pokoju, o ścianach aż dyszących spokojem i ładem — na tamtą ulicę zamieszkaną przez panów radców i ich wzorowe, ślicznie wychowane rodziny. Czy tam mógł wprowadzić to dziwne, szalejące stworzenie, które teraz rozchłestane, nieuczesane, z niedopałkiem papierosa przyklejonego do wargi tarzało się dookoła niego.

Tak jest.

On mógł się przenieść, powinien był nawet — *oni* nie mogli i nie powinni poruszać się z tego gniazda i środowiska, gdzie przestano się im dziwić i zajmować się nimi.

Gdy po południu poszedł do biura czuł, iż patrzy na niego przez okno i odwrócił się ku niej, ale uśmiech, który jej przesłał był sztuczny i nie płynął z serca.

I czuł, że będzie teraz targał się ciągle w wyczerpującem pożądaniu i pędzie, który będzie go gnał ku tej kobiecie, a jakiejś odrazie tłumionej i przechodzącej w ból. Lękał się tej dwoistości, która teraz po jej powrocie zarysowała się jeszcze wyraźniej jak poprzednio.

— Muszę się z nią rozmówić! — postanowił, aby na razie się uspokoić — skoro się dowiem o wszystkiem — ułoży się we mnie jakaś norma życiowa. Tak przecież być nie może... Długobym tak nie pociągnął...

Gdy odbył torturę biurową nie miał przecież siły powracać zaraz do domu. Wiedział teraz, iż ją znajdzie na miejscu. Wszystko bowiem znamionowało, iż zanosi się na jej dłuższy pobyt. A potem, nie szarpało go żadne przeczucie. Był pod tym względem tak wrażliwy jak kobieta. I to wywołało w nim nagle, niespodziewanie chęć ujrzenia... panny Werner.

— Powinienem. Nie mogę postąpić niegrzecznie, brutalnie. Cóż? To przecież mnie do niczego nie zobowiązuje. To przecież prosta, zwyczajna znajomość.

A przecież, gdy stanął u drzwi mieszkania Wernerów i przycisnął dzwonek, serce mu drgało dziwnym niepokojem i lękiem.

Z głębi mieszkania nadbiegły lekkie, posuwiste kroki.

Na chwilę zapanowała cisza, i drzwi otworzyły się bez szelestu.

Dyskretny uśmiech sługi-dewotki powitał go w półcieniu.

— Czekamy na wielmożnego pana — posłyszał i wiedział, że to nie było kłamstwem.

Wszystko tu bowiem — czekało rzeczywiście na niego.

XV.

I gdy wszedł do salonu ujrzał odchodzącą od okna pannę Werner, która widocznie przez cienkie koronki firanek śledziła jego nadejście, a teraz zmieszana cofnęła się mimowolnie na to stanowisko, z którego na chwilę zbiegła — aby wysłać służącą, celem otwarcia mu drzwi.

Ręka, którą wyciągnęła do niego była jakby spłoniona i drżąca. Coś uległego i wyczerpanego było w całej jej postaci.

— To... dobrze, że pan przyszedł! — wyrzekła zciszonym głosem.

Zupełnie podle odparł:

— Czy pani wątpiła?

Uszczęśliwiona, uśmiechnęła się.

— Nie wiem... ale... czegoś...

Przeczekał chwilę. Wyzywał jej szczerość. Ta delikatna gra sprawiała mu przyjemność.

— Czegoś się bałam! — dokończyła z nieokreślonym, dziewiczym wdziękiem.

Nie puszczał ze swoich dłoni jej ręki. Podziwiał w tej chwili tę wrażliwość, subtelność przeczu-

cia na równi z jej przepyszną pięknością, która zamiast tracić w przybliżeniu, zyskiwała tylko i powiększała się w nieoczekiwany sposób. I rozkoszował się bardzo wytworną i delikatną rozkoszą. Powstawała ona nie ze zdrżenia zakończyn nerwowych podrażnionych w zetknięciu, z kontaktu bezpośredniego z tem kobiecem, atłasowem, pysznem ciałem, lecz była to rozkosz, mająca w sobie mniej łaskotliwości, a raczej bardziej duchowa i udoskonalona. Drugą swą ręką delikatnie i trwożliwie pogładził trzymaną na uwięzi rękę kobiety. I równocześnie właśnie w tej trwodze i niepewności, że się obrazi za tę nieśmiałą prawie pieszczotę, zrozumiał, gdzie tkwi rdzeń rozkoszy, ciągnącej go ku niej. Z najwyższą radością śledził czarujący rumieniec, który powoli wypłynął na jej twarz i odsłoniętą szyję. I te opadające powoli powieki i źrenice, które może konały z wrażenia, jakże były wspaniałe i ciągnące w swej niemej tajemniczości!

— Bałaś się... — zapytał bardzo zciszonym głosem, hazardując to »ty« rozkoszne i bliskie — czego? wiedziałaś przecież, że choć mnie tu pozornie niema... ale cały jestem bez ustanku z tobą i przy tobie...

Odparła wyczerpana:

— Nie wiedziałam o tem...

Wszedł na teren kłamstw i brnął po nim dalej.

— Krzywdzisz mnie! Nie jestem lekkomyślny i nic nie poczynam lekkomyślnie.

Powieki jej zacisnęły się na oczach, jakby boleśnie. Te podłużne oczy cokolwiek podsiniałe zdawały się cierpieć od nadmiaru wrażeń, które się zewnątrz cisnęły. Wyraz jej twarzy przez to stał się jakby bolesny. Powiększyło to tylko jego rozkosz i jakby odradzało go. Chętnie byłby przedłużył tę chwilę w nieskończoność, lecz z głębi mieszkania dobiegł dwukrotny odgłos dzwonka. Panna Werner drgnęła i wysunęła rękę z uścisku mężczyzny.

— Ojciec dzwoni!

Skierowała się ku drzwiom sypialni ojca. Postąpił za nią.

— Jakże się miewa?

— Lepiej.

I stojąc na progu, na tle purpury portjery, rzuciła ku niemu:

— Zaraz powrócę!

Gdy pozostał sam — usiadł na fotelu koło stołu, który zajmował za pierwszej swej w tym domu bytności. Czuł się dziwnie dobrze i powoli wracał mu jakiś normalny spokój. Oddychał głęboko, jak się oddycha podczas letniego, pogodnego dnia o zachodzie słońca. Z lubością patrzył na te poważne sprzęty, zajmujące niewzruszenie swe miejsca, bez żadnego lęku, że przyszłość rozrzuci je, zburzy i zniszczy harmonję, w której zgrupowane zostały.

— Dobrze tu jest... — nurtować w nim poczynało — dobrze tu bardzo.

Na progu stanęła panna Werner i przyzwała go uprzejmie.

— Ojciec pana prosi. Chciałby panu podziękować za to, że pan dopomagał mi czuwać nad nim!

Porwał się skwapliwie rad, że będzie miał przed samym sobą wymówkę pozostania jeszcze dłużej w tem miłem otoczeniu. Czuł bowiem, iż razem ze zmrokiem będzie musiał stąd odejść. Wszedł więc do pokoju chorego prawie z wdzięcznością i pogrążył się w tem półświetle i cieple, jakby w letniej kąpieli. Leżący w łóżku starzec wyciągnął ku niemu wyschłą rękę. Na chwilę poczuł w swej dłoni charakterystyczne drżenie jego palców.

— Dziękuję panu! — zaklekotał bezbarwny głos nadradcy — interesowałeś się pan mną, wdzięczny panu jestem.

Zaprosił potem Krajewskiego, aby usiadł na fotelu, stojącym obok łóżka.

I zaraz, osłabiony i wyczerpany, zaczął polityczną dyskusję.

— Zanosi się na zmianę sytuacji! — zawyrokował z całą pewnością politykującego *quand même* maniaka.

Krajewski podsycał rozmowę, nie biorąc prawie w niej udziału. Rad był, iż zeszła na te tory, które pozwalały mu odpoczywać swobodnie. Widoczne było, iż stary potrzebował wyładować przed kimś to wszystko co nagromadził w zakamarkach swego mózgu podczas długich, samotnych chwil choroby. Pobłażliwie i chętnie służył mu w tej chwili Krajewski za kasyno i zbierające się w niem towarzystwo radców, politykujących przy kartach. Równocześnie

śledził wiotką postać panny Werner, krzątającej się koło zaświecenia elektrycznej lampki, pokrytej zieloną przyciemką. Lampka ta stała w kącie sypialni poza biurkiem gdańskiem przeczystej roboty. Trochę martwe i starcze światło dobywało się jakby nieśmiało z tego kąta i dyskretnie rozlewało się dokoła. W niem migały tylko ręce Wernerównej i dolny zarys jej twarzy, opuszczonej cokolwiek na piersi. Nie brała udziału w rozmowie i nawet zdawała się nie interesować jej treścią. Zatrzymała się chwilę obok lampy i tak pozostała nieruchoma, jakby ją coś (może właśnie — on) przykuwało na miejscu. Obecność jej dodawała wielkiego czaru temu cichemu zakątkowi. Jakże rozkosznie zatapiał się w ten czar Krajewski! Odchylił głowę, oparł ją o wysokie plecy fotelu i z pod przysłoniętych powiek patrzył na to całe spokojne wnętrzne, służące za tło tej królewskiej piękności kobiecej.

Naprzeciw łóżka chorego — równolegle po drugiej stronie było zupełnie puste miejsce, zaznaczone tylko tem, że na ścianie wisiał przybity piękny perski kilimek, podobny do kilimka, zawieszonego nad łóżkiem Wernera. Widocznie, w tem miejscu stało łóżko zmarłej pani domu. Nie śmiano postawić tu widocznie żadnego sprzętu. Pozostała na oko pustka, ale dla tego pozostałego przy życiu męża i córki wypełniona ciągle obecnością tej, która odeszła. Krajewski zauważył, iż panna Werner, gdy szła poprzednio wzdłuż pokoju, jakby z szacunkiem usuwała się, aby nie dotknąć nawet brzegiem szaty owe-

go pustego miejsca. I teraz stała opodal, z rękami opuszczonemi wzdłuż sukni, jakby na straży grobowca. Przypomniała mu owego Anioła, dojrzanego kiedyś na opuszczonym cmentarzu, anioła o czarnych szatach i białej, cudownie pięknej twarzy i śnieżnych rękach...

Korzystając z przerwy w mowie chorego, który jakby wyczerpany opadł nagle na poduszki — powstał i zbliżył się do panny Werner. Zapragnął stać się jej bliski i wejść w krąg jej najtajemniejszych może myśli.

— Tu stało łóżko matki pani? — zapytał prawie szeptem.

Podniosła powieki i spojrzała na niego, a w tem spojrzeniu było takie bezdenne morze czystości, że aż zdawało mu się, iż nie ma dość siły do zniesienia tej potęgi.

— Tak!... — odrzekła równie szeptem.

I po chwili dodała:

— I tutaj umarła!

Nic nie zdoła określić tej prostej a głębokiej boleści, jaką był przepojony ten szept. Krajewski chciał ująć rękę kobiety i dać jej tem wyraz, jak bardzo rozumie i odczuwa ból i stan jej serca w tej chwili. Ale uczynić tego nie śmiał. Mimowoli uczuł się niegodny współuczestniczyć w tym smutku, mającym za podkład najpiękniejsze i najszlachetniejsze uczucie, bo miłość dziecięcą za umarłą matką.

I wdzięczny był pannie Werner, że cicho i wolno wysunęła się z pokoju. Powrócił na dawne miej-

sce i próbował zawiązać znów polityczną rozmowę z chorym.

Ten chętnie powrócił do swoich orjentacyj. Nawet ze zdwojoną siłą i jakby wyzywając sprzeciw ze strony Krajewskiego. Lecz ten nie brał udziału w kontrowaniu starcowi. Ciągle myślą i wzrokiem zwracał się ku temu pustemu miejscu, w którem kiedyś stało drugie takie samo wygodne, orzechowe łóżko, bliźniaczo podobne do tego na którem spoczywał — stary. I powoli odtwarzał to pożycie spokojne, równe, unormowane jak *menu* obiadów i kolacyj, które musiała zgasła radczyni nakreślać na całe tygodnie naprzód. Czasem następowała jakaś zmiana, jakaś *feta*, coś nieprzewidzianego — ale szybko powracano do raz przyjętego układu. Tak samo z pewnością było tu i ze wszystkiem. O godzinie oznaczonej gasła lampa w sypialni i słychać było owo tradycyjne »dobranoc« — zamieniane coraz bardziej słabnącemi i starzejącemi się głosami. Ale było, trwało, lata całe — wierne, niewzruszone i zda się— nierozerwalne. Podtrzymywało przy życiu i umacniało w chęci do życia. Było koniecznością i główną arterją życiową.

I tylko śmierć nagle uciszyła wszystko. Pod takt opowieści politycznych radcy kojarzyły się w mózgu Krajewskiego owe myśli i wyobrażenia. On — wszakże mógłby także wytworzyć takie gniazdo unormowane i silnie w podstawach stojące. Mógłby — ale czy rzeczywiście obecnie możliwość ta istniała? — Oto było pytanie.

I jakby go kto podciął batem, tak porwał się z miejsca. Wspomnienie Poranka szarpnęło nim całym.

— Pan radca zmęczony już...

— Nie... nie...

— Ależ tak. Nie będę nadużywał. Jutro jeśli pan pozwoli...

— Proszę, proszę bardzo.

Rozstali się bardzo uprzejmie i serdecznie. Za drzwiami sypialni, w salonie zastał Krajewski czekającą widocznie na jego wyjście służącą.

— Panienka prosi na kolację!

Drzwi były otwarte — stanęła w nich panna Werner, ponawiając swą prośbę. Lecz Krajewski odmówił, śpiesząc się z powrotem do domu. Ściemniło się już na dworze i przewidywał, że tam Frania-Poranek musi się niecierpliwić i dąsać. Przykro mu było bardzo odmawiać prośbie panny Werner, tembardziej, że jej twarz przyoblekła się nagle wyrazem smutku. Przez otwarte drzwi, wiodące z jadalni do przedpokoju widać było nakryty starannie stół, oświetlony jasno i miło kręgiem lampy. Snop kwiatów umilał to nakrycie estetyczne i wabiące. Posunął się mimo to ku drzwiom wchodowym, uścisnąwszy przedtem rękę panny ciepło i serdecznie. Służąca znikła w głębi mieszkania. Byli sami w wąskim przedpokoju, zawieszonym portjerami i litografjami. Panna Werner nie mówiła nic, jakby ten nagły zawód sprawił jej przeogromną przykrość. Drżały jej tylko lekko wargi ust, które wygięły się jakimś

bolesnym łukiem. Dostrzegł to — mimo panującego cienia. Stojąc już u wyjścia z mieszkania zapragnął wytłumaczyć się, usprawiedliwić.

— Iść muszę... — podjął — koniecznie. Brat mój przejeżdżać będzie wieczornym pociągiem. Pisał, ażebym był na dworcu.

W jednej chwili rozjaśniła się jej twarz.

— A... tak? brat pana?

Aż mu przykro się zrobiło, że tak szybko, uczciwie — poprostu uwierzyła.

— Brat mój starszy... przejeżdża do Wiednia.

Brnął dalej:

— Nie widziałem go dwa lata...

— Ach, to niech pan idzie... żeby się pan nie spóźnił! — upominała go troskliwie.

I sama mu drzwi otworzyła z uśmiechem.

Już z sieni zwrócił się jeszcze do niej.

— Proszę mi darować, iż zostać nie mogę, proszę się nie gniewać!

— Ależ nie! nie! *rodzina to wielka rzecz!* ja to rozumiem!...

Rozstawali się powoli, pełni uśmiechów.

— Niedługo sam się do pani zaproszę!

— Tylko żeby... niedługo!

Wreszcie zamknęła drzwi. Czyniła to jakby z żalem. I jemu żal było, że ten cudnie piękny obraz jej urody znikł mu z przed oczu.

— Iść muszę! — wyszeptał przez zęby — iść! a to... psia krew!

Poszedł wolno w stronę swego domu. Nadkła-

dał drogi — nie tak, jak biegł w południe, po wyjściu z biura. Miał ochotę zawrócić, opóźnić jak najwięcej przyjście do tego *domu*. A przecież szedł, choć wolno, ciągle w tym kierunku.

— Stanowczo... zrobi mi scenę! — pomyślał, dochodząc do kamienicy.

— Ale... nie dam się! — postanowił, marszcząc brwi — nie dam się!

Czekała go w oknie. Zirytowało go to.

— Poco ona mnie tak afiszuje! muszę jej to zakazać!...

Zobaczywszy go — pisnęła i klasnęła w dłonie.

— Nareszcie!

Gdy wszedł, skoczyła mu na szyję i zaczęła całować jak szalona.

— Jeszcze w nos, w buzię, w oczy... jeszcze raz! i jeszcze raz!...

Stał oszołomiony tym gradem pocałunków, który spadł na niego, jak moc listków róży, jak ciepły, wonny, wiosenny deszcz... Poczuł, że ją kocha i zamknął ją w obręczu swych ramion.

Gięła mu się, jak młoda pantera, jak Efeb jakiś rozigrany wesoło i hulaszczo.

— Tatuńcio!... o! Tatuńcio!...

Zaczął ją także całować w odchyloną wyzywająco szyję. Śmiała się rozkosznie i srebrzyście...

— Och! och! Tatuńciu! taże ja mam łaskotki!...

Wreszcie odetchnęli oboje.

— No... dosyć!...

Siedli do nakrytego stolika. Ubogie to były usi-

łowania i natychmiast Krajewskiemu na myśl przyszła cicha, dostatnia jadalnia w domu Wernerów, o masywnym, pięknym kredensie i stole nakrytym adamaszkowym, śnieżnym obrusem. Nie wiedział dlaczego, ale czuł, że ten właśnie fantazyjny i ubogi stoliczek Poranka pobija tamten w zupełności. Jakieś rozrzewnienie przejęło go i wdzięczność dla tej rozkosznej dziewczyny, od której aż pachniało młodością i życiem i która sobą miast kwiatów stroiła to łatane nakrycie.

Chętnie i żwawo jadł, co mu podawała. Młodością swoją porywała go. Czuł, iż działa nań zbawczo i ożywia go. Nie daje mu estetycznych wrażeń, ale zato porywa go i podnosi na łąki, po których chodzić zapomniał zupełnie. Otwierała przed nim wrota czarujących sadów i wciągała go w kwietniki, które już tylko mgliście majaczyły w jego wyobraźni.

Nie słuchał co mówiła, choć terkotała zawzięcie. Słyszał tylko dźwięk jej głosu trochę trywjalny, ale przedziwnie czysty i odżywczy w swem brzmieniu. Coś tam plotła o Romanowej, o drożyźnie, o popsutym primusie, który trzeba dać czemprędzej do naprawy...

Nagle, jakby sobie coś przypomniała, stuknęła się w czoło i zawołała:

— A gdzież to Tatuńcio się do tej pory włóczył.

— ?...

— No, tak. Z biura wyszedł Tatuńcio o szóstej — więc gdzie do tej pory siedział?

Stchórzył podle przed możliwością sceny. Czuł

się jednak zanadto leniwie usposobiony, aby męczyć się wyszukiwaniem jakiegoś kłamstwa. Wziął już gotowe, to samo, którem się posłużył przed panną Werner.

— Byłem na kolei.

— Poco?

— Brat mój przyjechał...

— O! brat?

Pokręciła głową i nagle spoważniała.

— Ty masz brata?

— Mam.

— Nigdy nie mówiłeś... A czem on jest?

— Obywatel.

— Na wsi?

— Tak...

Bawiła go ta indagacja i nudziła potroszę.

Ale ona nie dawała za wygrane.

— A czemu ty Tatuńciu wsi nie masz, tylko się po jakichś biurach wycierasz?

Brnął dalej.

— Miałem także wieś, ale ją sprzedałem.

Aż klasnęła w ręce.

— A to psia krew... pewnie żydom.

— Tak!

Zaczęła bić pięścią w stół.

— Oni wszystko z człowieka wyciągną. Ale jak to można ziemię swoją sprzedać... Mnie się tam po rodzicach jeden zagon należał, ale ja, żebym miała zdechnąć, tobym żydowi go nie sprzedała.

Ucieszył się, iż mu się objawiła z jakiejś lepszej strony.

— Takie były okoliczności... — usprawiedliwiał się. — Musiałem!

Zachmurzyła się i usiadła opodal.

— Pewnie długów narobiłeś?

Pochwycił ten pretekst.

— Tak... miałem masę długów.

— Naco? poco? — nacierała.

Roześmiał się.

— A no... żyło się.

— Pewnie na karty, wino, papierosy, na dziewki...

Nic nie zdoła wyrazić pogardy i nienawiści, z jaką ta »dziewka« — rzuciła tę nazwę w przestrzeń.

— No już naco — to moja rzecz! — zakończył, zapalając papierosa i pragnąc odwrócić rozmowę z terenu, który zaczynał być i przykrym i niebezpiecznym — zapytał..

— Ty masz żyjących rodziców?

Odburknęła prawie zuchwale:

— Ano. Cóż? to? mam sto lat?

— Nie. Ale przedtem mówiłaś inaczej.

Machnęła ręką z pogardą dla tego, co ona kiedyś mówić mogła.

— I rodzice twoi mają grunt?

— Przecież sroce z pod ogona nie wyleciałam!

Zabawiło go to trywjalne określenie.

— Masz dużo rodzeństwa?

— Jest nas kupa. A twoja wieś była duża?...

Zaczęło go to nudzić.

— Taka sobie, średnia. Chodź lepiej tu, siadaj przy mnie, będziemy palić papierosa...

Wzruszyła ramionami.

— Nie potrzebuję!

— Czego się dąsasz?

Nie było odpowiedzi.

— Chodzi ci o to, że wieś sprzedałem?

Milczała ciągle.

Uspokajał ją.

— Poczekaj trochę... odkupię!

Żachnęła się.

— Właśnie, za co? O! brat twój to mądry. On trzyma ziemię w zębach, jak pan Bóg przykazał. On żonaty?

— Nie!

— A będzie tu długo?

Postanowił sobie z tego brata uczynić furtkę i pretekst do pewnej wolności.

— Tak!... parę dni, może dłużej...

— To... zaproś go tutaj na obiad, albo na kolację.

Roześmiał się.

— Dobrze! Jak tylko będzie miał czas.

Odparła praktycznie, już trochę udobruchana perspektywą dywersji w tem ubogiem, monotonnem życiu.

— Ja go przyjmę porządnie! Ja wiem co się należy. *Rodzina to wielka rzecz...*

Aż drgnął cały. To samo zdanie przed godziną może słyszał z ust panny Werner. Wspólne więc były struny u tych dwóch kobiet, które napozór stały na dwóch przeciwnych krańcach społecznych! Podstawę, pień miały jeden, z którego wyrosły. I nic nie zdołało zetrzeć w nich miłości, szacunku, uwielbienia, które się zawsze w jednym zwracało kierunku. Ani kultura i ogłada u jednej, ani rozpusta i rozwleczenie u drugiej. Dla tej i dla tamtej istniała rzecz wielka, imponująca, przeogromna, przed którą korzyły się zawsze i wszędzie.

Rzeczą tą była — rodzina!

— — — — — — — — — — — —

Z zadumą patrzył teraz Krajewski na Poranka, z zadumą i wielką, bezbrzeżną sympatją. Ta jej miłość do »ojców« — do »ziemi« okazywała ją w zupełnie innem, nieznanem mu świetle.

Wyciągnął ku niej ręce.

— Chodź tu Poranku!...

Podniosła się i podeszła ku niemu. Usiadła mu na kolana i pożerała wzrokiem tkwiącego w ustach papierosa. Twarz jej nie miała już tego wyrazu, który upiększał ją przed chwilą. Powoli zastygły mu na ustach wyrazy, któremi chciał wyrazić jej to, co czuł wobec poprzedniego jej wypowiedzenia się.

Zresztą, czy byłaby zrozumiała, choć ona sama wzbudziła w nim te uczucia!

Postanowił nie poruszać lepiej tego tematu.

Bał się, że mu popsuje czemś wrażenie.

Ale ona sama nie dała mu czasu na dłuższe refleksje.

Szybkim ruchem wyrwała mu z ust papierosa.

— Ty... skąpidło! papierosa Porankowi dać nie chcesz!...

I przechyliwszy się — zaciągnęła się, a potem puściła strugi dymu przez dziurki od nosa.

— Patrzaj! patrzaj! — krzyczała, a siwy dym czepiał się jej roztarganych włosów i kładł się welonem na jej młodej twarzy.

XVI.

Skończyło się.

Uczuł to sam, iż nigdy nie będzie mówił z Porankiem o tem, co robiła podczas tych przeżytych zdala od niego dni. — Nie będzie nigdy jej pytał dlaczego nie »straciła się« — jak to obiecywała w owym liście przysłanym mu na pożegnanie, z którego dowiedział się, iż była jedną z owych napiętnowanych hańbą i rzuconych na żer podbudzonym chuciom mężczyzny. — Zresztą — wszak on był właśnie jednym z tych prawnie chronionych, dla których władze tak troskliwie i uprzejmie starają się zabezpieczać wygodne i zdrowe przysłanie, celem zadowolnienia ich chuci.

25672 9/12/69 99—

WYŻSZA SZKO
PEDAGOGICZNA W KIE
BIBLIOTEKA
83988

Biblioteka WSP Kielce
0170627